



TYGODNIK ILUSTROWANY

# BIESIADA

(*GWAR POLSKI*)

NR. 2

WARSZAWA 26 PAŹDZIERNIKA 1924



# Warszawskie Przedsiębiorstwo Asfaltowe i fabryka Tektur

dawniej Inżyniera Spornego.

Warszawa, ul. Solec 58. Telefon 6-67.

Egzystuje od roku 1865 jako pierwsza fabryka w dawnej Kongresówce. Drogą długoletniego doświadczenia produkuje w gatunkach wyborowych znane powszechnie:

Tekturę asfaltową do krycia dachów. Lak asfaltowy do smarowania dachów papowych. Paski do listew, (klebemase) lepnik i t. d. Wykonywa: roboty dekarские z własnych meterjałów, roboty asfaltowe jako to: wylewanie bram, chodników i t. p. Izolacja fundamentów.

Wszystko najsolidniej po cenach i na warunkach jak najprzystępniejszych.

## WIELKI WYBÓR KAPELUSZY

najnowszych fasonów po cenach  
przystępnych poleca

**Maison de Modes**

**„Z. MIERUCKA”**

Warszawa, Krucza 17.

**Fabryka Gipsu Mozajkowego,  
Figurowego, Sztukatorskiego,  
Modelowego i Rolniczego p. f.**

**„ALABASTER”**

**WL. INŻ. BRONISŁAW PLEBIŃSKI**

**Warszawa, Czerniakowska 156**

Założona w roku 1873. Telefon 13-40

Konto P. K. O. 18-43.

# B I E S I A D A

( G W A R P O L S K I )

P I S M O T Y G O D N I O W E I L U S T R O W A N E

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA NOWY-ŚWIAT 50, TEL. 291-60

WARSZAWA 26 PAŹDIERNIKA 1924 ROK I NR 2.

**JECOROL** zamiast **TRANU** SYROP o PRZYJEMNYM SMAKU, ZAWIERA JOD w organicznym połączeniu, WAPIEŃ i FOSFOR. Stosuje się przy NIEDOKRWISTOŚCI i SKROFULOZIE.  
REGISTR M.Z.P. Nr. 214

**JODONAT** organiczny związek jodu łatwo przyswajalny przez organizm, używany przy arteriosklerozie, otyłości, podagrze i osłabieniu ogólnym,  
REGISTR M.Z.P. Nr. 213

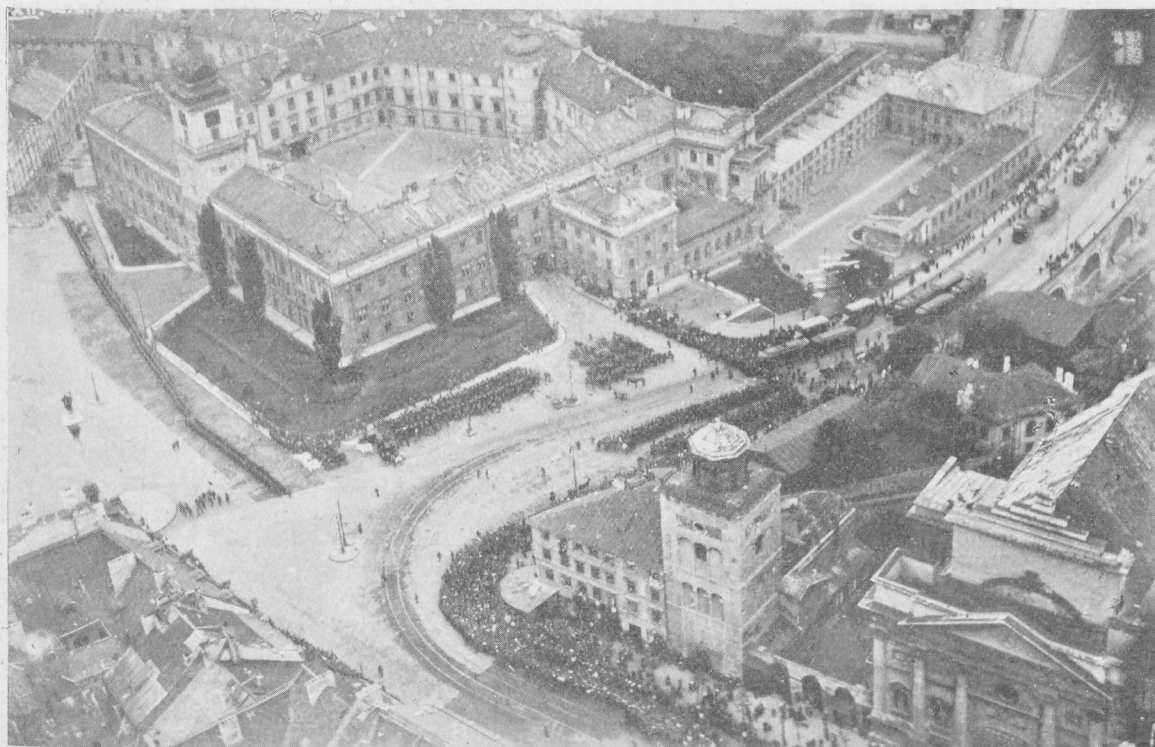
ORAZ INNE WYROBY POLECA:

**LABORATORJUM CHEMICZNE** Magistra A. BUKOWSKIEGO  
WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 54, TEL. 13-19.

WYSTRZEGAĆ SIĘ NAŚLADOWNICTWA.

SPRZEDAŻ WE WSZYSTKICH APTEKACH i SKŁADACH APTECZNYCH.

*PONIEWAŻ TYGODNIK NASZ ZAREKLAMOWANO POCZĄTKOWO POD NAZWĄ „GWAR POLSKI“, A NAZWĘ TĘ OBECNA REDAKCJA ZMIENIŁA NA „BIESIADĘ“, PRZETO PRZEZ PEWIEN CZAS UMIESZCZAĆ BĘDIEMY W NAGŁÓWKU PISMA OBA TYTUŁY.*



Warszawa,  
fotografowana  
z samolotu.  
Widzimy,  
prawdziwie  
jak na dłoni—  
kościół  
Berrardynów,  
cały Zjazd  
oraz Zamek  
i Plac Zamkowy  
z kolumną  
Zygmunta.



# N A S Z E S P R A W Y

## DOOKOŁA NOWEJ POLSKI.

### I.

Najtrudniej jest zmienić rzeczy proste i codzienne, właśnie dlatego żeśmy się do nich przyzwyczaili. Wiemy wszyscy, jak niesporo jest odzwyczać się od rzucania na ziemię niedopałków, jakkolwiek rozumiemy, że to brzydko, bo zaśmieca mieszkanie lub ulicę. Nie rzucilibyśmy napewno w ten sposób dużego drewna, ale zapałka, — taka zwykła, mała rzecz! Wiemy również dobrze, iż niejedno w naszym osobistym życiu — w naszym domu — pokoju — ogrodzie — gospodarstwie — moglibyśmy urządzić lepiej — porządniej — ładniej — bardziej kulturalnie — a przede wszystkim — wygodniej! A jednak — nie robimy tego. Dlaczego?

Przedewszystkiem przez — bierność. Wiemy, że są lepsze urządzenia. Ale tak, jak my, żyje nasz sąsiad z prawa — i nasz sąsiad z lewa — i ten z naprzeciwka. Dlaczego, wiedząc o tem, nie wprowadzamy zmian? Bo tak żył nasz ojciec — dziad — swat. Bo taką jest tradycja tej miejscowości — kraju — narodu. I dopiero trzeba dużo czytać lub samemu pojechać do innej miejscowości lub ziemi, aby zobaczyć, że tymże kosztem można sobie ułożyć życie inaczej i lepiej.

Dlatego właśnie bardzo pożądanem jest, aby ten, kto był poza granicami Polski, wprowadzał nowe i dobre pomysły, które tam widział, po powrocie do kraju. Naprózno skarżymy się nieraz, że „za granicą to co innego”. I owszem: za granicą jest zupełnie to, co u nas. Ziemia, którą się uprawia, miasta, które się buduje, przemysł, który się udoskonala — naród, który się uczy. Zależy tylko, jak to się robi: niedbale czy umiejętnie? Największym kosztem, czy najmniejszym wysiłkiem? Uczciwie czy oszukańczo? Z myślą o przyszłości, czy tylko licząc na dzisiejszy zysk?

Oto są sprawy zasadnicze, najważniejsze. Weźmy taką Amerykę! Polska już dawno istniała i była znanem państwem, gdy garstka odważnych ludzi z Kolumbem na czele odkryła dzikie lądy, kraj zamieszkały tylko przez koczujące plemiona czerwono-skórych. Nie mieli tam absolutnie żadnej pomocy — mieli ziemię i niebo, wodę i ogień. Mieli to, co na każ-

dem miejscu świata każdy naród posiada, a prócz tego mieli do zwalczania plemiona mieszkańców owego dzikiego kraju. Minęło lat czterysta. W Polsce przez ten czas miasta się wprawdzie rozszerzyły, powstały nowe; działy się wojny i pokoje, zawierano handlowe traktaty i przymierza — ale ostatecznie nadzwyczajnego postępu wobec innych narodów nie wykazaliśmy, zwłaszcza w dziedzinie handlu, przemysłu oraz techniki. I jeżeli dziś chcemy komuś dać wzór właśnie kraju najbardziej postępowego, wspaniałego, bogatego, tętniącego życiem handlowym, wspaniale administrowanego — słowem: pod wieloma względami przodującego, mówimy: — Ameryka!

I niezawsze sobie przypominamy nawet, że ta Ameryka przed laty czterystu jeszcze nawet nie istniała — wyrosła, jak cudowne dziecko, nagle, i o głowę prześcignęła starą Europę, która ją wypiaستowała ongiś!

Dlaczegoż tak się stało? Czy warunki tam są specjalne — lepsze niż gdzieindziej — łatwiejsze — miłsze? Ziemia rodzi sama? Niebo nie zsyła burz? Ogień nie spala? Woda nie wylewa?

Bynajmniej... Warunki te same — i lepsze nieraz!... — mamy i u nas. Różnica tkwi zgola w czem innym, a tem innym są — ludzie.

Ta garstka pierwszych odkrywców Ameryki — byli to ludzie śmiali — uparci — wytrwali — pomysłowi. Musieli sami, toporem i młotem, wyrąbać, wykarczować, obsadzać dziką krainę, którą odkryli. Nie było tam stójkowego na rogu, aby ich poratował od napaści bandytów, nie było sądu, gdzieby można dochodzić krzywd; nie było sklepiku do zakupienia produktów; nie było hotelu, aby się przespać wygodnie. Była tylko żelazna wytrzymałość zdobywcy, którego jedynym hasłem jest: — Zwycięzę!... Bo mógł tylko albo zwyciężyć — i żyć, albo być zwyciężonym przez tubylców — i umrzeć. I z tego jednego małego słowa energii ludzkiej powstały wspaniałe miasta, olbrzymie fabryki, potężne okręty — cały niesłychany przepych i bogactwo, jakimi się szczyci dziś Nowy Świat.

W tej to tradycji walki — zdobywania — zacietej walki — niezmordowanej wytrwałości: w tem właśnie, nie w darach natury, tkwi sekret rozwoju Ameryki. Pomyślmy nad tem dobrze, zastanówmy się



uważnie! Gdyby u nas w Polsce — dziś — zaraz — w Siedlcach czy Krakowie, w Koziej-Wólce czy w samej Warszawie: gdyby u nas dziś znalazła się garstka amerykańsko-twardych ludzi: gdyby ci ludzie mieli istotnie energję i tężyznę pierwotnych zdobywców: mógłby się stać cud! Mogliby się zrzeszyć, jak ongiś Kolumb z towarzyszami i rzec:

— Odkryjemy nową Polskę!

Nową. Bo już najwyższy czas stworzyć nowoczesną, własnopañstwową, świeżobudowaną na rozwaliskach przedwojennych Polskę. Taką, w której chłop nie będzie już mieszkał stale z prosięciem, bo tak mieszkał jego ojciec i dziad — tylko będzie hodował prosięta w ten sposób, aby opłaciły mu porządną izbę i dobry chlew. Taką, gdzie rzemieślnik nie będzie spekulował na oszukaniu nabywcy przy wyrobieniu towaru, byle go sprzedać dziś, tylko zrozumie, że solidną robotą zaskarbi sobie nabywcę na wiele dni jutrzejszych. Gdzie kupiec nie będzie obdzierał klienta na mące, bo zrozumie, że za to szewc go obedrze na butach lub krawiec na ubraniu. Gdzie kamienicznik nie zbuduje kamienicy tak, aby się zawaliła za lat dwadzieścia i zrujnowała jego spadkobierców, którzy go obficie przeklną. Taką wreszcie, gdzie szkoła będzie uczyła przede wszystkim jak można najlepiej urządzić życie każdego obywatela, aby stało się najmniej ciężkiem dla każdego poszczególnego człowieka

i najkorzystniejszym dla dobrobytu całego, narodu.

To jest istotne zadanie szkoły narodowej — uczyć naród mądrego rządzenia się w życiu osobistem i społecznem. — I do czegoż ci się przyda teoria geometryczna o linii prostej, jeżeli nie będziesz umiał jej zastosować w życiu?...—rzekł jeden z największych mędrców starożytności. Jakżeby stokrotnie był to powtórzony dziś! Mamy masę wiadomości technicznych, ale zatraciliśmy mądrość życia. Jest to powszechna wada wychowania w Europie, przeciążonej naukami teoretycznymi. Nowy Świat pod tym względem zachowuje się mądrzej: na pierwszym miejscu stawia istotne potrzeby życia dzisiejszego i podług nich kształtuje plan nauki. Stąd Amerykanin dużo mniej wykształcony od Polaka, nieskończenie jednak przewyższa go kulturalnością urządzeń domowych i społecznych oraz tą zaradnością, energją i ukochaniem postępu, którą odziedziczył po przodkach, jako najświętszą tradycję.

Spróbujemy, ile się da, zrobić przegląd porównawczy amerykańskich urządzeń i naszych, zwłaszcza że, w Ameryce rośnie i rozwija się olbrzymia, bo do czterystu milionów ludzi licząca kolonia polska, i z gruntu amerykańskiego do nas niejedno z korzyścią i łatwością powinno być przeniesione

M. H. SZPYRKÓWNA

## Polska gospodarka narodowa a rolnictwo.

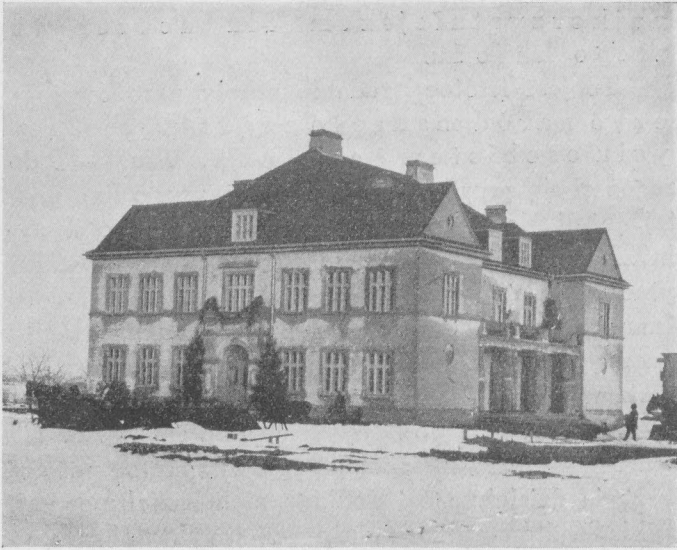
W naszej gospodarce narodowej rolnictwo jest główną pozycją i interesy jego w regulacji naszych stosunków gospodarczych winno się stawiać na czele. Rolnictwo bowiem daje zajęcie trzem czwartym narodu polskiego, a więc jest warsztatem pracy dla znacznie większej ilości ludzi, niż przemysł i handel.

Cały rozwój gospodarczy Polski musi być zbudowany na podstawie kwitnącego rolnictwa. Kwitnące bowiem rolnictwo jest bezpośrednio związane z przemysłem rolnym, cukrownictwem, gorzelnictwem, krochmalnictwem. Dobrobyt rolnika w Polsce może stworzyć mocne podstawy dla przemysłu polskiego, wzmacniając rynek krajowy.

Wyjawszy surowce zaoceanowe: bawełnę, wełnę australijską, skóry bawole na podeszwy, kawę, herbatę, kakao, a z surowców europejskich koks o znaczniejszej ilości kaloryj, żelazo manganowe i miedź, to pozatem Polska posiada wszystkie niezbęd-

ne wytwory. Dla powodzenia swego przemysłu i rolnictwa potrzebuje tylko niektórych chemikalij i maszyn. Polska więc w dziewięciu dziesiątych zaspakajać może swe potrzeby własnymi wytworami; opiera się przede wszystkim na własnym rynku—przeciwnie, niż takie państwa, jak Holandja, Belgja i Anglja. Charakterem gospodarczym zbliża się Polska najbardziej do Francji. Francja też łatwo może wyżywić się płodami własnego rolnictwa i posiada niemal wszystkie surowce. Stąd, jakkolwiek ma w porównaniu z Polską znaczny handel zewnętrzny, jest jednak, jak i Polska zbliżona do tego rodzaju państw, które same sobie wystarczają pod względem gospodarczym. Francja posiada taki sam stopień gęstości zaludnienia jak i Polska t. j. około 70 mieszkańców na kilometr kwadratowy. Polska różni się od Francji tem, że ludności jej przybywa, i to nawet dosyć szybko, gdy tymczasem Francji ubywa. Polska ma mniej wielkich miast, niż Francja oraz mniejszy odsetek ludno-





Szkoła rolnicza w Czarnocinie, zbudowana i otworzona przez sejmik łódzki w styczniu r. b.

ści miejskiej. Stąd znaczenie rolnictwa dla Polski jest większe, niż dla Francji.

Znacznym przyrostem naturalnym, t. j. przewyżką urodzeń nad śmiertelnością Polska przypomina Niemcy przedwojenne. I w pewnej mierze polityka gospodarcza Niemiec może służyć nam za wzór ku podniesieniu naszego stanu gospodarczego.

Niemcy rozwinęły się pod względem gospodarczym, uwzględniając przede wszystkim interesy rolnictwa. W okresie, gdy rozpoczynało się współzawodnictwo zboża amerykańskiego, w dziewiątym dziesiątku lat ubiegłego wieku, Niemcy nie zawahały się wprowadzić ochrony celnej dla swego rolnictwa tak samo, jak ochraniały cłami te gałęzie swego przemysłu, które nie mogły współzawodniczyć z odpowiednimi gałęziami przemysłu angielskiego.

Rozwój rolnictwa niemieckiego poszedł w parze z rozwojem przemysłu. Przemysł, związany z rolnictwem, rozwinął się na kapitałach rolników. Przemysł chemiczny dostarczał Niemcom nawozów sztucznych, przemysł żelazny maszyn i narzędzi rolniczych. Przemysł przyczynił się do rozbudowy sieci kolejowej, która doszła do wielkiej gęstości 116 kilo-

metrów kolei na 1000 kilometrów obszaru. Rozwój przemysłu, idąc w parze z rozwojem bogactw, pomógł kapitały Niemiec, co ułatwiło tani kredyt dla rolnictwa. Dzięki temu Niemcy należą do krajów, których rolnictwo wydaje najwięcej płodów z hektara.

Kultura gospodarcza Niemiec potęgowała się przez to, że równomiernie uwzględniano tam interesy rolnictwa i przemysłu oraz przez to, że szerzono wykształcenie rolnicze i przemysłowe.

Z tego doświadczenia obcego winniśmy korzystać, aby podźwignąć nasze gospodarstwo narodowe.

Polska w roku 1923 miała najtańsze zboże w Europie, a najdroższe bułki w piekarniach. Ten niezdrowy objaw gospodarczy u nas pochodzi z trudnego dowozu do kolei. Mamy bowiem bardzo wiele miejscowości daleko od kolei położonych, mamy mało kolei. Zła organizacja handlu, brak kapitału obrotowego w naszym młynarstwie—wszystko to bardzo podnosi cenę gotowego wytworu rolnego. Jednocześnie z popieraniem rolnictwa trzeba dołożyć wszelkich starań, aby zmniejszyły się ceny spożywczych płodów rolnych. Polska dotychczas nie prowadzi polityki gospodarczej odpowiedniej. Nasze rolnictwo niema kredytu, w roku urodzajnym istniały zakazy wywozu zboża, aż zboże z rąk rolników wielkich i małych przeszło do rąk żydowskich handlarzy zbożowych. Nasze ciężary podatkowe nie są rozłożone należycie i zbyt obciążają rolnika. Nie mamy dość szkół rolniczych, instruktorów rolnych i t. d. Zubożał obecnie nasz rolnik i nie jest zdolny nabywać dosyć nawozów sztucznych, oraz maszyn rolniczych, co doprowadza rolnictwo do stopniowego upadku. Zubożały rolnik kupuje mniej wszelkich towarów. Nasz przemysł bawełniany i wełniany mógłby iść całą siłą pary i nie cierpieć na wytwórczość nadmierną czyli tak zwaną nadprodukcję, gdyby nasz rolnik był zamożniejszy i mógł kupować sobie więcej wszelkich ubrań i t. d.

Pod hasłem—interesy wytwórczości rolnej, to interesy naszego narodu — trzeba rozpocząć pracę ku podniesieniu rolnictwa w Polsce.

WŁAD STUDNICKI.

## Z E S Z T U K I

### ILUSTRACJE BIESIADY

#### I. WIECZÓR.

#### II. PRZED BITWĄ RACŁAWICKĄ.

Chelmoński, to malarz przyrody. Wszelkie jej zewnętrzne postaciowe przejawy znał dokładnie, świetnie. Podpatrzył

je, wchłonął i przetrawił, jak rzadko który z naszych malarzów. To też stworzył w tej mierze arcydzieła.

„Wieczór“ jest tego najwymowniejszym dowodem. Odał tu artysta najsutelniejsze półtony zjawiska. Lekko zam-





PORTRET H. SIENKIEWICZA.

K. POCHWAŃSKI.

**W** CIEMNE DNI NIEWOLI ŚWIADOMIE WYWOŁYWAŁ SWEM PIÓREM NIEZRÓWNANEM PRZEPYSZNE WIZJE WIELKIEJ A WOLNEJ PRZESZŁOŚCI NARODU, ABY POKRZEPIĆ SERCA RODAKÓW, WALCZĄCYCH O NIEPODLEGŁOŚĆ. — ODŚWIEŻYŁ I DODAŁ BLASKU MOWIE POLSKIEJ. — ROZNIÓSŁ PO ŚWIECIE SŁAWĘ IMIENIA POLSKIEGO. — ZMARŁ NA OBCEJ ZIEMI, NIE DOCZEKAWSZY TAK UPRAŻNIONEJ WOLNOŚCI OJCZYZNY. — WDZIĘCZNY NARÓD SPROWADZA OBECNIE Z CZCIĄ JEGO PROCHY, ABY JE GODNIE ZŁOŻYĆ NA WOLNEJ NARESZCIE ZIEMI OJCZYTEJ.



glony wieczór nad stawem, technie oparami letniami. Widzimy je z całą żywością i wdychamy niemal. Budowa obrazu jest niezmiernie prosta: staw, kawał ciemnego brzegu, księżyc, sylwety oddalonych drzew—oto wszystko. Lecz cały artyzim polega tutaj na subtelnym i jaknajsubtelniejszym oddaniu szczegółów potrzebnych do charakterystyki zjawiska. One to właśnie składają się na ten nastrój pory, zawsze tak przedziwnie wierny w obrazach Chełmońskiego.

Chełmoński nie ograniczał się do przyrody wyłącznie martwej, nie był tylko pejzażystą, bynajmniej—był to malarz przyrodnik w najszerszym znaczeniu. Jak ziemię, drzewa, wody i śniegi, tak samo malował kuropatwy czy wilki, z tym samym niezwykłym talentem obserwacyjnym. A również tak samo malował człowieka — ale człowieka, zespolonego z przyrodą. A więc lud wiejski. „Bociany“, „Orka“, „Pastuszkowie“, to wszystko obrazy człowieka na tle przyrody, z przyrodą nierozdzielnie związanego.

Malarzem historycznym natomiast Chełmoński nie był wcale. To też jeśli dał nam obraz „Przed bitwą raclawicką“, to raczej jest to obraz ludu krakowskiego w przeszłości, niż obraz ściśle historyczny. Rzecz znamienita dla twórczości Chełmońskiego, że wysunął tutaj na plan pierwszy chłopów kosynie-

rów, wszystko inne usuwając na plan drugi i trzeci lub całkiem pomijając.

Surowe niebo kwietniowego poranka z pierwszych dni miesiąca. Na mokrej ziemi — kępki zeschniętej trawy zeszłorocznej. Kosynierzy w należnym skupieniu słuchają mszy. Ołtarz płowy jest przed nimi, na obrazie wcale go nie widać. Odziani w białe suymany z czerwonymi wyłogami, jakie nosili w domu, jakie do dziś noszą ich prawnukowie w Krakowskiem. Błyszcza nad nimi kosy, na sztorc na kosiskach osadzone. Przednie szeregi klęczą, położywszy kosy przed sobą. Modlą się żarliwie; niektórzy biją się w piersi, całują ziemię. Śród klęczących w pierwszym rzędzie — kapłan zakonnik z głową w dłoniach. Dalej śród stojących — oficer z obnażoną szablą na ramieniu, w krótkim wojskowym ubraniu ciemnej barwy, w rogatywce. Po prawej stronie szeregów, a na lewo od widza — dobosze z bębнами, w czapkach z pawimi piórkami, obok nich — chorągwy, wpatrzony z nabożeństwem w chorągiew z Matką Boską. Dalej sztandar z Orłem Białym. Od kosynierów na lewo, ale zupełnie w głębi obrazu, napół za mgłą — Kościuszko na koniu, za nim wyżsi oficerowie, dalej działa.

## POWIEŚĆ — POEZJE — OPOWIADANIA.

*M. H. SZPYRKÓWNA.*

### DJABLICZKA CÓRKA DJABLICY.

C I A G D A L S Z Y.

Od czego się zaczęło? Naturalnie od kłótni z małą. Bo trzeba wiedzieć, że od śmierci matki dziewczynka żyła jak wilczek. Z ojcem nie rozmawiała niemal wcale—ze służbą półgębkiem i niechętnie—najwięcej siedziała u siebie w pokoju, to znaczy w pokoju po matce—i czytała książki. Żywiła się książkami, jak my chlebem i mięsem. Zato jadło wykradała ukradkiem, jakby się wstydząc, kiedy nie widział nikt. Zdaje się, że nienawidziła dziewczek, których od śmierci pani było jeszcze gęściej i które miały się po domu i obeejściu niby to przy gospodarce. One jej niecierpiały nawzajem i byłyby dokuczały stokroć więcej, gdyby nie groźba nieboszczki, o której wiedział każdy kto żyw.

Najbardziej unikał jej sam gospodarz, ale póki był trzeźwy. Nieszczęściem, zdarzało mu się to coraz rzadziej. Srożył się po pijanemu nad miarę i wciąż nawracał do tego, że z dzieckiem zrobi, co zechce i żadne upiory go nie zmoją.

— Ja tam — wołał, waląc w stół pięścią—babskich zabobonów się nie lękam! Kto przez siedm lat na ziemi żył—powiada — z djablicą, temu ona i po śmierci nie groźna! A z tej małej gadziny—powiada—jak zechcę, pasy drzeć każę, a nikt mi nie zabroni, i szlus!...

I stało się najgorzej, bo raz — a było to właśnie

po wilji i gospodarz był już pod dobrą datą—zachciało się rudej Marji nowej sukni. Przekleństwo na baby i babskie łaszki! A tu święta—sklepy zamknięte. Uradzili, że trzeciego dnia pojedą i kupią. Aż tu—wódka dobry doradca, nie bój się!—Wpadł gospodarzowi inny pomysł. Podniósł się od stołu, pięścią huknął, po nas oczami potoczył i mówi:

— Nie pojedę do miasta! Albowiem tu nie pan?... Zechcę—w aksamitach będziesz jutro chodziła, nie w bylejakim dreliszku! Groźby? Gwiżdżę na wszystkie groźby! Ja tu pokażę, kto pan!...

I wyszedł. Struchleliśmy wszyscy, bo w pokoju małej stała szafa, pełna sukien po nieboszczce. Sama ruda Marja zbładła: co będzie?... Aż tu w pokojach krzyk!... Dzieciak krzyczy.

— Oddaj—powiada—Ty, zbóju! Ty, złodzieju! Ty, taki siaki owaki!.. To nie twoje, to mojej mamy! Ja nie chcę, żeby twoje dziewczki szarpały suknie mamy! Ja nie chcę! Ja nie dam! Ja nie!...

Zachłysłęła się, bo on krzyczał jak zwierzę i tak wypadli oboje do jadalni—on ogromny i straszny z czerwoną aksamitną suknią w ręce—ona uczepiona jak mały kleszcz drugiej ręki, aby nie puścić. Przejechała tak za nim przez cały pokój po podłodze, wlokąc się przy butach, i widząc, że nie poradzi, z całej siły ugryzła go w palec. Ryknął jak tur z bólu i wście-





PRZED BITWĄ RACŁAWICKĄ.

J. CHELMOŃSKI.



kłości i pchnął ją butem, aż się potoczyła pod ścianę i zemdląła.

Zrobił się kram. Przyznam się, żeśmy wszyscy trochę stchórzyli. Zwymyślaliśmy naturalnie przedewszystkiem rudą Marję, bo z jej wymysłów stał się cały kram. Trzęsa się jak liść i sama już była niera-da. Ale z gospodarzem nie pomagało nic. Był pijany i rozwścieczony jak bawół.

— Ja temu piekłeciui pokażę! Ja ją nauczę! Ja z niej skórę zdjąć każę i buty z niej dziewce dam uszyć, jak mi się podoba! W mózdzierzu ją każę tłuc, aż zmięknie! Ha, wilcze szczenię! Jaszczurka! Djabli-ca, córka djablicy!

To była noc, powiem panu! Uspokoilo się wszystko dopiero pod świt, bo spał się nareszcie jak bela i zwałił na łóżko ubrany. Aż ledwie po pierwszym śnie—krzyk! Gospodarz. Wpadamy, aż leży na podłodze obok kanapy, siny, w rozchełstanej koszuli, z oczyma na wierzchu i rzezi.

— Dusi! Dusi! Ra...tujcie, dusi! Czerwona... djablica... Nie puszczajcie... nie dajcie... Wody! Wody!

Maluczko, a byłoby po nim. Felczer potem prawił, że to z alkoholu, ale bodaj tam! On wiedział swoje, my—swoje. Ruda Marja, której musiał coś mówić, rozpowiadała nam w sekrecie, że zjawiła mu się nieboszczka, chwyciła za gardło i mówiła: — Oddaj suknię, zbroju!—I uwierzy pan? Sukni jednak nie oddał!

Ha no! Może to była i odwaga, ale najwięcej: zaciętość. Żadna dziewczyna zresztą za skarby świata tej sukniwy nie wzięła. Własnoręcznie rozłożył w podwórzu stos i rzucił suknię w ogień na złość „djablicy”. Coprawda, kiedy tak stał i mieszał w płomieniach ożogiem, czerwony i wykrzywiony, sam był podobny do piekielnika.

Teraz się uduś swoją suknią, djablico! — krzyczał głucho z pasją.—Na masz! Na masz! Na masz!

Ale już w nocy gorzkośmy tej zabawy pożalowali! Zaczęło się od pokoju nieboszczki. Zdawało się nam nagle, że dom się wali. Zerwaliśmy się na równe nogi, wszyscy naraz z różnych końcach domu i rzuciliśmy się tam: myśleliśmy, że ktoś rozbija drzwi, wywala ściany, łamie belki. Ale przed drzwiami zatrzymaliśmy się jak wryci, całą gromadą: były zamknięte na głucho od wewnątrz, jak codzień; spała tam i zawsze zamykała drzwi. Za temi drzwiami działo się coś dziwnego. Huczało tam, grzmociło, stukało, tupotało, strzelało, jakby całe piekło zebrało się na płasy. Stłoczyliśmy się jak owce i z pewnością byłoby sły-szczać jak szczękamy zębami: poprostuśmy oniemieli. Co się tam działo? Nie rozumieliśmy nic. We drzwiach u góry była szybka: za tą szybką raz po raz coś pobłyskiwało zielonkawem i niebieskiem światłem, jak pioruny. Sły-szczać było, jak dębowy ciężki stół szoruje z rogu w róg i z powrotem, jak klekocą potrzęsane niby wiązka kluczy krzesła, jak ciężka dębowa szafa podnosi się stękając, i przysiadła z powrotem. Wyglądało, jakgdyby w pokoju zamknęła się gromada olbrzymów i świecąc sobie błyskawicami, grzmi piekielnym tańcem. Coś podobnego i w malignieby się nie przysniło. A najstraszniejsze uwierzy pan?... Była świadomość, że tam, za temi drzwiami, jest dziecko!...

Dlaczego byśmy nie otworzyli?... Ha! Przykre, choć proste: bośmy się na śmierć przerwali! Wyrozumowaliśmy, że to nieinaczej, tylko matka przyszła ją zabrać do piekła, czy gdzie tam zresztą sama przebywała. Może już i wzięła? Bo nawet i jej głosu sły-szczać nie było. Sprzecaliśmy się tylko, czy zostało ciało, czy nie? O świtku zaczął padać deszcz i jakoś pomalu wszystko ucichło. Za drzwiami było wciąż cicho. Popatrzaliśmy na siebie i na palcach odeszliśmy precz. Ale gdzieżby już kto myślał o spaniu! Gospodarza w domu nie było: wyjechał na noc w sąsiedztwo. Uradziliśmy, że jak wróci, niech otworzy drzwi sam. Zasiadliśmy kołem w kuczki przy stole, i że to już było po siódmej rano, Marja zaczęła szykować kawę. Jakaś niemota nas opadła: siedzieliśmy bez słowa, bo każdy rozważał w sobie, co to wszystko być mogło? W domu było cicho, jak makiem siał—tylko na kominie potrzaskiwał ogień.

I nagle w głębi, za salonikiem, trzasnęły drzwi, a potem najwyraźniej posłyszeliśmy kroki. Ktoś szedł z pokoju, z t a m t e g o pokoju!... Porwaliśmy się na nogi jak jeden mąż, a ruda Marja tylko krzyknęła:—Jezu!... i rzuciła się do sieni i precz na drzwi. Nie minęło chwili, jak zostałem w kuchni sam. Była pewna, jak potem mówiła, że to nieboszczka idzie po nas. A i mnie, co mówić, serce znaęła stanęło napoprzek. Tymczasem drzwi się otwierają i wchodzi kto?... Mała! Żywiuteńka, wyspana i nawet jakaś bardziej do ludzi podobna, bo pozatem nie uśmiechała się chyba wcale. Idzie sobie bosy, podśpiewując, a w rękę trzyma kubeczek i coś błękitnego. Poszła do zlewu i widzimy, nabiera wody. Jakby nigdy nic!

— To panienka... żywa?... — Chciałem powiedzieć, ale ugryzłem się w język. Nie można być za głupim!...—To panienka była w pokoju?...

— Gdzież miałam być? Przecież tam sypiam.

— To panienka... spała?!—powiadam jeszcze. Ciekawość mię mordowała! Toć musiała widzieć i ch!...

— Spałam!... — powiada. I nagle podniosła na mnie oczy—takie jakieś łagodne, jak to dziecko naprawdę mieć powinno!—uśmiechnęła się i wyciągając do nas rączkę, powiedziała:

— Mamusia u mnie była dziś w nocy! Przyniosła mi to!

Patrzmy, a tu w piastce ma pęczuszek niebieskich kwiatków, tych co to na wiosnę rosna byle gdzie. Zaniemówiłem! Ale to zdębiałem jak kloc. Bo po pierwsze, była szczerza zima i do wiosny mieliśmy kawał. Po drugie, nie mogła ich znikąd dostać, zwłaszcza po nocy; po trzecie—trzymiała jednakże je w rękę. A nadewszystko to dziecko było pogodne, uśmiechało się! Uśmiechało się naprawdę jak opuszczona sierota, którą matka odnajdzie, upieści i pocieszy.

— To panienka nie sły-szczała hałasów?

— Hałasów? Nie! Spałam, a potem przyszła mamusia. Grała na klawikordzie, a potem usiadła przy mnie i opowiadała mi dużo rzeczy. Teraz zapomniałam co, ale było bardzo ładne i miłe. Potem robiła mi te kwiatki, żebym wiedziała, że naprawdę była, i obudziłam się.

Powiadała to wszystko najprościej w świecie, jakgdyby nieboszczycy grający na klawikordzie tra-





WIECZÓR.

J. CHEŁMOŃSKI.

fiali się co czwartek. Złożyła w kubek z wodą owe przedziwne kwiatki, i podreptała sobie boso z powrotem, coś tam do nich po dziecinnemu przemawiając. Miała niespełna ośm lat!

Stałem jak kolek i wciąż patrzałem na nią. Przypomniały mi się owe historie biblijne, gdzie to młodzieniaszkowie przechadzają się wśród płomieni, a ogień ich się nie ima lub zstępują między lwy, a bestje łaszą im się do stóp. Ha! Bóg wielki! Kto wie, czy nie zezwala nawet djablicom przyjąć na się obraz anielski, aby pocieszyć takie małe, rzucone wśród obcych pisklą? I kto wie jeszcze, czy to, co nam grzesznym wydało się jak chichot szatański, nie brzmiało jak słodka muzyka dla dziecka, gdy duch matki strzeże jego snu?

Naturalnie, że mi nie uwierzono, skoro opowiedziałem całą historję innym. Powiedzieli, że albo ze strachu sam zwarzjowałem, albo też mała ma bzika. A najpewniej, że poprostu wymyśla banialuki i wyczynia hałasy, aby domownikom, a zwłaszcza ojcu, napędzić strachu. Byłoby to aż nadto do niej podobne, tylko że ani w setnej części nie miałyby sił, aby

rzucać meblami, jakby sześciu tęgich ludzi nie poradziło. Ale już najgorzej zblamowałem się z kwiatami. Uważałem je za dowód najbardziej niezbity i na dowód chciałem pokazać innym. Cóż pan myśli? Kwiatów nie było! Kiedy zapukałem i wszedłem do małej — siedziała jak zawsze w kąciku cicho jak myszka nad książkami — zobaczyłem to odrazu. Kubek stał na kominku pusty; sasanek nie było.

Najlepszy był jednak spokój małej. Na moje pytanie podniosła obojętnie oczy.

— Jakże mogą być? Przecież stopniały.

— Stopniały! Co też panienka mówi! Alboż były ze śniegu?

Wzruszyła ramionami na moją tępotę.

— Przecież one nie były takie kwiatki z lasu! Ona mi je sama zrobiła z powietrza. Tak jakoś umiała to zrobić. Ale tylko na troszkę, żebym się ucieszyła i wiedziała, że ona u mnie naprawdę była. Żywe więdna, a te więdna też, tylko że topnieją i niema po nich nic. Ale wy tego wszystko jedno nie zrozumiecie!

ANDRZEJ de WISSANT.

## TESTAMENT CIOTKI URSZULI.

Jak wśród sportowców bywają atleci kompletni, tak Achilles de Parmezan był wśród hulaków hulaką kompletnym, a więc jednocześnie i w jednakowym stopniu karcierzem, pijakiem i kobieciarzem. Gdy go zapytywano czy posiada jakie zajęcie, czy wogóle robi cokolwiek, odpowiadał nie bez odcienia dumy: „robię długi“.

Jest rzeczą skądinąd bezsporną, iż przy dzisiejszej drożyznie robić długi jest o wiele trudniej, aniżeli się wydaje. Potrzebne są do tego: pewien specjalny atawizm, szczęście i zdolności wrodzone, tupet i specjalna zręczność. Achilles de Parmezan był zręczny jako klasyczny typ wiecznego dłużnika. Krawiec, fryzjer i szwec mieli dla niego słabość nieprawdopodobną. Sprawiedliwość nakazuje przyznać, że ci dzielni rzemieślnicy w tym samym co ich klient stopniu spekulowali w danym wypadku na śmierci starej ciotki Achillesa, multimiljonerki, osiemdziesięcioletniej staruszki, mieszkającej w Perigordzie. Zdrowie jej było tak wątłe, iż od czterdziestu lat śmierci jej oczekiwano z minuty na minutę. Achilles de Parmezan był jej jedynym spadkobiercą. Mógłby on pretendować do połowy spadku tylko wówczas, gdyby kuzynka jego Wirginja zachowała z ciotką Urszulą poprawne stosunki. Ale, na jego szczęście, ciotka poróżniła się przed kilku laty z kuzynką Wirginją z racji małżeństwa Wirginji.

Oczekując przeto „zrealizowania ciotki“ pędził Achilles życie wesołe, dostatnie, bez najmniejszej troski.

Kuzynka Wirginja, sierota zupełna, siostrzenica ciotki Urszuli, w tym samym stopniu pokrewieństwa, co i Achilles, poróżniła się z ciotką w okolicznościach szczęśliwych i nieszczęśliwych zarazem.

Utraciwszy rodziców bardzo wcześnie, została ona przygarnięta i wychowana przez ciotkę Urszulę w atmosferze smutku i nudy. Ciotka Urszula nie była w gruncie rzeczy złą kobietą, należał jednak pamiętać, iż w chwili gdy podjęła się wychowania osieroczonego dziecka, dźwiżyła już na swych barkach szósty krzyżyk, a że nigdy nie była mężatka, należał się jej przeto słusznie tytuł „starej panny“. Była manjaczka, naszpikowaną niezliczonymi przesądami i dlatego też, aczkolwiek żywiła dla Wirginji szczere uczucie i życzliwość, można powiedzieć bez przesady, iż nie potrafiła zapewnić ani chwili szczęścia zdrowej, wesołej i chciwej ruchu dziewczynce, której losy powierzył jej wypadek. Wirginja kochała ciotkę swą uczuciem zrodzonym z naturalnej potrzeby uczucia, dusiła się jednak coraz bardziej w przestronnych komnatach ponurego perigordzkiego dworu. Skorzystała też z pierwszej okazji, by się salwować ucieczką z tego prawdziwego więzienia; inaczej najniekniejsze dni jej życia bezpowrotnie zmarnowałyby się tutaj.

Najulubieńszą jej rozrywką było pianino, na którym ćwiczyła się z zapałem i rozkoszą, kiedy ciotka ulegała jej prośbom, zgodziła się wreszcie sprowadzić profesora muzyki — jedyne profesora

muzyki w okolicy, mogącego udzielić kilku lekcji gry na fortepianie. Był to muzyk, kapelmistrz orkiestry w jednym z mniejszych kin paryskich, spędzający właśnie wakacje w pobliżu miasteczku: był on młody i piękny, co stara, nawpół niewidoma ciotka spostrzegła zbyt późno.

Co się miało stać, to się stało! Wirginja zachwyciwszy się na umor, uciekła ze swym muzykiem. Przygoda ta skończyła się, jak to bywa we wszystkich szczęśliwych romansach, małżeństwem, no i także zerwaniem katastrofalnym z ciotką Urszulą.

Okoliczności nieszczęśliwe zerwania z ciotką polegały więc na tem, że zrywając z ciotką przedwcześnie, Wirginja traciła wszystkie szanse odziedziczenia po niej majątku; okoliczności szczęśliwe zaś — na tem, że wybierając bez wahania ubóstwo przy boku tego, do kogo należało jej serce, Wirginja znalazła szczęście.

Powróciwszy do domu około godziny siódmej wieczór, po spędzeniu całego popołudnia w jednym z barów na Monmartrze, Achilles znalazł telegram, który służący jego zostawił na widocznym miejscu na kominku. Po przez mgłę szumiącego jeszcze w głowie wina wyczytał:

„Z panią bardzo źle: Aniela“.

Był to telegram pokojówki ciotki Urszuli, która w ten, umówiony z nim zgóry sposób, zawiadamiła go o grożącej życiu ciotki chorobie. Achilles przekupił bowiem za cenę złota cały personel staruszki, aby niemał codzień być informowanym o stanie jej zdrowia; uczynił to, bojąc się, aby nie „przegapić“ ostatniej jej godziny. Choć od czternastego roku życia nie odwiedził swej ciotki ani razu, to teraz postanowił sobie, że przybędzie na umówione hasło i otoczy ją na łożu śmierci najtroskliwszą opieką, — spodziewał się, że tym sposobem zabezpieczy się od wydziedziczenia.

Skądinąd, jego oczywiście obowiązkiem było zawiadomić kuzynkę Wirginję o agonii opiekunki jej i wychowawczyni, myśl o obowiązkach nie zaprzętała jednak nigdy głowy Achillesa. Nietylko postanowił ukryć smutną, a radosną wiadomość przed Wirginją i jej małżonkiem, obawiał się bowiem tak groźnych dlań prób pojednania się kuzynki w ostatniej chwili z ciotką. Ale nadto dla większej pewności, wysłał natychmiast do oddanej mu całkowicie pokojówki Anieli częściowo kłamliwą a jako całość wzruszającą depeszę tej treści: „Zbyteczne zawiadamić kuzynkę Wirginję. Zawiadomiłem już. Przyjeżdżam“. Następnie chwycił słuchawkę telefoniczną i zamówił sobie sleeping w pociągu nocnym, następnie zaś nie wypuszczając z rąk słuchawki, wywołał kolejno jeden po drugim numery 26-62 pana Gastona Dugommeux,

\*) Monmartre — dzielnica Paryża, w której skupia się nocne życie bawiącego się Paryża.



33-40 panny Zinette, 10-27 panny Nourroche, 04-12 panny Totoche i do każdego z tych abonentów i abonentek telefonu wypowiedział te wymowne i krótkie słowa: „Urszula dogorywa. Zjemy dziś kolacyjkę w Monico“.

O ósmej wieczorem punktualnie cała kompanja otaczała go już kołem przy biesiadnym stole, przy którym zapanowała szampańska wesołość, iż o pół nocy musiano kompletnie pijanego Achillesa przenieść do dorożki automobilowej, którą serdeczni kompanjonowie jego odwieźli go na dworzec, gdzie znowu posuwając swą przezorność jeszcze dalej, przenieśli go do wagonu.

Następnego dnia Achilles pukał do podwoi perigordzkiego dworu.

Dogorywała ciotka Urszula już czwarty dzień. Achilles de Parmezan przybył, po hulance i podróży całonocnej znużony i błąd jak papier! Wiedział o tem i cieszył się, licząc, że wygląd jego zostanie przypisany przez ciotkę silnemu wzruszeniu; poznawszy go doskonale, uległa ona przystępowi jakiegoś jakgdyby nerwowego śmiechu, poczem straciła świadomość ostatecznie.

W ciągu ośmiu dni agonji ciotki, Achilles świecił przykładem podziwu godnego poświęcenia. Zajawszy miejsce na posterunku u jej wezglowia nie odstępował jej ani na chwilę, przygotowując osobiście, dzień i noc, lekarstwa, wylewając w miarę potrzeby, zawartości wszelkich naczyń. Ten niepoprawny zdawałoby się hulaka ani chwili nie okazał niecierpliwości u łóża chorej, która była mu obojętna „jak jego własna czterdziestka“, jak to niejednokrotnie sam wobec przyjaciół stwierdził. Czyżby wykrył w sobie naraz duszę siostry miłosierdzia? Nie, tylko jeśli chodzi o „czterdziestkę“, uważał, że kto mógł czekać na spadek lat czterdzięci, to może zaczekać jeszcze dni trzy lub nawet cztery.

Gdy wszelako lekarz oświadczył mu, iż ciotka jego wyzionęła ducha w wieku osiemdziesięciu pięciu lat, trzech miesięcy i dni sześciu, z piersi jego wydobył się wraz z westchnieniem ulgi, okrzyk „nareszcie“. Ponieważ śmierć ciotki zwalniała od dalszej koniecz-

ności odgrywania komedji, pobiegł więc niezwłocznie do notariusza, u którego był złożony testament. Lecz notariusz odmówił Achillesowi otwarcia testamentu, żądając zwołania pozostałych spadkobierców.

Achilles pobiegł więc na pocztę i telegraficznie wezwał Wirginję i jej męża. Dnia następnego wszyscy spadkobiercy stawili się do notariusza w komplecie. Wówczas notariusz wstał uroczyście, poprawił okulary i odczytał testament ciotki Urszuli, który był, jak się okazało, dokumentem nielada złośliwości.

„Zapisuję cały swój majątek“, zaczął notariusz „swemu siostrzeńcowi Achillesowi de Parmezan...“

Achilles jednym skokiem znalazł się koło przedstawiciela prawa, któremu z uniesieniem uściśkał obie ręce, a również ręce kuzynki Wirginji i jej męża, zanim mieli czas zareagować, poczem chwycił kapelusze i skierował się ku wyjściu...

— Zaczekaj pan, to nie koniec, rzekł notariusz i ciągnął dalej: „zapisuję cały swój majątek siostrzeńcowi Achillesowi de Parmezan tylko w tym wypadku, jeżeli nie zdobędzie się na tupet, ażeby po kilkudziesięciu latach zupełnego ignorowania mnie przerwać hulaszczcze życie, jakie pędzi dotąd w Paryżu i przybyć po to, by tu, u mego łóża, czyhać na moją śmierć. W tym zaś wypadku zapisuję cały swój majątek mej siostrzenicy Wirginji, z wyjątkiem również identycznego wypadku t. j. gdyby przybyła do łóża moich boleści, aby pojednać się ze mną, bo to oczywista, musiałyby być podyktowane wyrachowaniem. Gdyby zaś to się zdarzyło, zapisuję cały majątek ubogim.“

Notariusz położył testament na stole i zbliżywszy się do Wirginji, uściśnął jej rękę ze słowy:

— Na mocy testamentu staje się pani ponad wszelką wątpliwość jedyną spadkobierczynią ciotki Urszuli.

— Mogłeś przecie zawiadomić mnie na czas, Achillesie, rzekła z całą prostotą Wirginja. — Takbym pragnęła być przy cioci w ostatniej chwili, zamknąć jej powieki...

— Ach, gdybym ja wiedział! Gdybym ja wiedział! — jęczał Achilles, wrywając strzępami włosy z głowy.

Tl. W.

JERZY ŁUŻYC

## Robinson Capryjski.

CIĄG DALSZY.

A więc znowu byłem w morzu, a do tego piekła, z którego wyostałem się właśnie, nie wróciłbym za nic w świecie.

O kroków 40 brzeg załamywał się. Tam więc płynąłem, ciągnąc s a n d o l i n o. Miałem nadzieję znaleźć jakieś miejsce do wylądowania.

Znowu więc zaczęła się śliczna pielgrzymka samotnego człowieka w bezmiarze wzburzonego morza. S i r o c c o dalej wiał straszliwie i swawolna łupinka kajaku dokonywała dzikich wolt.

A kiedy wreszcie dotarłem do miejsca, gdzie za-

łamywał się brzeg, prąd jakiś wielki, czy też osłabienie zupełne mię opanowały, nie mogłem bowiem go okrążyć. Tak z kwadrans, bądź przybijała mię fala do ściany, bądź odrzucała. W tem gramoleńiu się mizolnem przyszła mi myśl, że jestem niby mucha w szklanej mucholapce i póty obija się o szkła, aż zginie. A przecież za tym zakrętem tuż może być grota, kto wie, może jaka ścieżyna, w skale wykuta, prowadząca w głąb wyspy...

Rozpaczliwymi więc paru rzutami udało mi się odbić i sięgnąć wzrokiem na zakręt. Spostrzegłem łuk

## WSPÓŁCZEŚNI MALARZE FRANCUSCY.



WYWCZASY w ESTERELU

AUBRY



szeroki, jaki zataczała skała brzegu. Była ona wszędzie stroma zupełnie. Po chwili jednak oko uchwyciło rodzaj zatoczki. Dzielilo mię od niej ze sto kroków. Nie było innej rady. Pożeglowałem w tym kierunku. Ze zaś potrzeba jest matką wynalazków, ulepszyłem sposób nawigacji. Kładłem środek wiosła kajakowego, mającego pióra z obu końców, na koniec sandolina, na jego szpicu opierałem brodę i wiosłując, pchałem sandolino i ciągnące się w jednej linii za nim ciało. W ten sposób jakoś szybciej przybyłem do zatoki, a w niej znalazłem grootę, tyłem do wiatru zwróconą. Tam wepchnąłem kajak i wiosło, będąc pewny, że fala miotać nimi nie będzie. Na vis a vis, w przeciwległej ścianie zobaczyłem o metr nad poziomem rodzaj niszy. Była to po prostu dawniej płytka grota, która wraz ze wzniesieniem się południowej strony wyspy znalazła się nad wodą. Tam popłynąłem. Ale próg metrowej wysokości okazał się zbyt wysoki. Palce nie miały o co zaczepić. I tu był brzeg jak ostra tarka, jak skamieniała gąbka, przeżarta słoną wodą. Co chwila ciało, zaczepione wąż kurczowo zaciśniętymi o chropawe ułamki palcami, nabierało wraz z odchodzącym odpływem straszliwej wagi i spadałem bezwładnie w wodę. Aż wreszcie lewa ręka uchwyciła wydatniejsze wgłębienie. Poczułem ból. Spoczywał w nim jeź morski, który mi nadział całą dłoń i obsadę ręki swemi kolcami. Trzymałem jednak uparcie uchwytne miejsce, mając pod palcami zduszone zwierzę i tak „przewisiałem” jeden odpływ. Wraz z kolejnym przyplwem prawa ręka zdołała uchwycić nowe wgłębienie jeszcze wyżej. Między jej palcami ukazała się czerwona galareta. Naruszyły bowiem siestę „pomodoro del mare”, zwierzątka wielkości pomidora, które wylało mi na rękę cały zapas swojej gryzącej cieczy. Cóż to znaczyło jednak wobec tego, że miałem punkty zaczepienia. Rzut naprzód wyciągnął mię całkiem z wody. Rozpaczliwie drapiąc się kolanami, rozciąłem jedno z nich *l e g e a r b i s*. Ale niebawem siedziałem już „na suchem” i myślałem z rozczuleniem, że świat jednak jest piękny i żyć jeszcze warto.

Obejrzenie się w nowym położeniu doprowadziło do smutnych wniosków. Jak już nadmieniałem — siedziałem na dnie dawnej groty, wydrążonej w prostopadłej skale brzegu. Wyjście z niej było tylko na morze—nigdzie więcej. Morze—jak daleko wzrok zasięgnie—było wzburzone i puste. żadna łódź nie ryzykowała spotkania z *s i r o c c o*. Być mogło około 4-ej po południu. Nie ma mowy, by przed zmrokiem wypłynął ktoś na morze. Nocą, być może, jeśli *s i r o c c o* ustanie, wyjadą rybacy na połów *c a l a m a r i*, *p u l p o i t o t a r i* (ośmionogi, polipy i sepje), ale wyjadą z *M a r i n a P i c c o l a* odrazu w dalekie morze i będę widział ze swojej platformki skalnej tylko dalekie roje karbidowych latarni. Były więc tylko, tylko alternatywy—albo siedź tu całą noc, albo „rubcius”.

Wybrałem to drugie. Wypocząłem z pół godzinki, poczem odpiłem zamiszowy woreczek z pieniędzmi (przemokłe banknoty stanowiły miękką miazgę) i schowałem pod kamień. Zdecydowałem się płynąć na zachód, w stronę „domu” t. j. *M a r i n a P i c c o l a*. Nie znałem topografii wyspy. Nie wiedziałem, czy i gdzie

znajduje się miejsce, dobre do wyładowania. Przecież jednak liczyłem, że los mi poszczęści i dopłynę do jakichś schodków, kutyh w skale, które w paru miejscach, jadąc w tamtą stronę widziałem i którymby się mógł wydrapać na powierzchnię wyspy i na jakąś ścieżkę.

Była to jednak chwila najcięższa i najprzykrzejsza—to rzucenie się poranionem ciałem w wodę ponownie na los szczęścia. Z początku przejmujący ból, jaki sprawiła mym ranom sól morska, przyćmił wszystko. Sprawił, że ciało kurczyło się nagłemi skrętami, chcąc stłumić ból. Po chwili jednak opanowałem się i postanowiłem oszczędnie i przemyślnie rządzić wysiłkiem; nie wiedziałem bowiem, ile wypadnie przepłynąć. Wiedziałem natomiast, że nie ma już przy mnie *s a n d o l i n a* i że jeśli nie znajdę dość rychło miejsca do wyładowania, nie podtrzyma mnie nic. To też starałem się płynąć „klasycznie”—równo i spokojnie.

Najbliższy cel—to był o kroków stokilkadziesiąt odległy zakręt brzegu. Za nim spodziewałem się znaleźć miejsce dogodne. Dopłynąwszy jednak, ujrzałem półkolisty łuk wybrzeża, stanowiący skalistą prostopadłą ścianę stukilkodzieściometrowej wysokości. Nigdzie groty, szczeliny, placyku, małej plaży, głazu przybrzeżnego, platformki nadwodnej.

Zmierzyłem wzrokiem odległość. Cięciwa, łącząca cypel, który okrążyłem, z przeciwległym końcem łuku wybrzeża mogła liczyć 400 kroków. Jakże ciężko było jednak zdecydować się płynąć wprost—pełną wodą, zamiast wzdłuż brzegu. Zwykła sugestia—cóż bowiemby mi brzeg taki mógł pomóc.

Tym razem była przeprawa ciężka. Aczkolwiek w morzu płynie się lżej, niż w wodzie słodkiej, to jednak nie w morzu wzburzonym. Uplłynąwszy trzy ćwierci odległości, zdecydowałem się położyć na wodzie i odpocząć. Fala jednak mi nie dała. Zalewała oczy, usta i nozdrza. Raz i drugi próbowałem, za każdym razem zachłysnąłem się i poszedłem pod wodę. Dałem więc tym próbom spokój, ale zmęczyłem się tem bardziej. Co najgorzej—równowaga była stracona. Pływak, gdy się raz już opije wody, traci spokój i rytm w poruszeniach. Wydiera się gwałtownie naprzód i nie chwyta oddechu równo.

Znużony śmiertelnie, z nerwowymi zachłysnięciami przy oddychaniu i z mgłą w oczach, dopłynąłem do upragnionego zakrętu. Czuję, że jeśli trzeba będzie płynąć wiele dalej, siły mnie opuszczą. Wracać już nie mogłem; było zbyt daleko.

Nie wiem, czy zrozumie ten, kto nie był w podobnej sytuacji, z jakim lękiem rzucił się wzrok na widok, który odsłaniał zakręt? Miałem poza nim wyczytać zbawienie, albo wyrok śmierci.

To, co zobaczyłem—nie było skazaniem, ale i nie było uwolnieniem. Było raczej — odłożeniem wyroku...

W odległości dwustu kroków kipiący zielenią wąwozik zbiegał do morza. U brzegu szereg głazów nadwodnych biegł ku lądowi coraz gęstszymi szeregami, zwierając się wreszcie w złom niedużej kamienistej plaży.

Popłynąłem ku tym kamieniom. Popłynąłem z pewnością, że nie dopłynę. I równocześnie z tą pewnością nie opuściło mię ani na chwilę mocne przeko-

nanie, że wyjdę z tej opresji cało. Przez głowę przemknęła myśl—czy boję się śmierci? I skonstatowałem, że nie, bo absolutnie nie wierzę, żebym zginął. A równocześnie nie wierzyłem, żebym dopłynął. Jak tę sprzeczność wytłomaczyć — nie wiem. Widać, gdy człowiek jest śmiertelnie znudzony, rozbrat bierze rozum i instynkt.

Instynkt okazał się trafniejszy. Niosły mię same nogi i ręce. Nie widziałem nieba ani morza. Płynąłem z twarzą w wodzie, od czasu do czasu szybkim ukosem ją wznosząc, by wziąć dech. Nie czułem, nie wiedziałem nic. Czułem tylko, że się posuwam. I równocześnie czułem, że przedziwny instynkt pcha mnie prosto, najprostszą, najkrótszą, o cal nie zbaczającą linią.

...Dotkliwy ból szarpnął mojem ciałem. Piersią wjechałem na ostry cypel podwodny. Po chwili wyciągnąłem się na nieduży nadwodny głaz. Słońce ukazało się i silnie grzało. Leżałem na brzuchu, z przewieszonymi do wody rękami i nogami. Nad głową przeciągała nieodgadniona symfonia dźwięków i barw. Nad nią stała koncha jednolitego szumu, potężnego, wszechobejmującego. Nie wiem co ze mną było—nie wiem czy stan ten trwał długo, czy krótko. Podejrzewam, że albo zdrzemnąłem się, albo zgoła zemdlałem. Jeśli nie—widać leżałem tak przez мгновение oka, nadzwyczaj krótko; nie pamiętam bowiem z tego stanu ani jednej myśli.

Przyszedłszy do siebie, przede wszystkim dogramoliłem się do właściwego brzegu, przeskakując z kamienia na kamień. Dobiwszy do lądu, starałem się zorientować w terenie. Przede wszystkim stwierdziłem, że placyk, na którym leżę, jest ze wszystkich stron otoczony wysoką skałą. Wąwoz, który tak ucieszył moje oko, gdy był na morzu, było to poprostu pęknięcie skały, wąskie nad wyraz. Szczelina pęknięcia wznosiła się pionowo pod niebo aż do szczytu skały, stanowiącej brzeg. Zadzierałem głowę bezradnie, smakując sobie, jak to zapewne ten wylot szczeliny wychodzi na powierzchnię wyspy i jakby

to ładnie było „gdyby ptaszkiem być, lot sokoli mieć”.

Zwolna jednak zacząłem kombinować, czyby też rzeczywiście nie można było tą drogą z opresji się wy dostać. Aczkolwiek bowiem jestem litwin i krew flegmatyczna we mnie płynie, jednak widać długie obcowanie z koroniarzami nauczyło mię być prędkim i gorącym. O jednym z moich pociotków opowiadają następującą historyjkę. W 1863 r. powiesili go kozacy, ale, jakoś źle, bo sznur się o szczękę zahaczył. Wisiał tak dwa dni, aż go powstańcy odnaleźli i odcięli, poczem pytają o wrażenia „A cóż, serce”—powiada litwin—„wiszeń dzień, wiszeń drugi—nudno, jeść kcesie, kości bolom—wiadomo—nie przywykły”.

Otóż nie czułem się na siłach iść w ślady epicznego przodka i siedzieć noc całą pośród skał, nietylko dlatego, że byłem „nie przywykły” do takich rekolekcji, ale i dlatego, że już teraz (mogła być godzina 5-a po południu), czułem nieznośne pragnienie, nie miałem bowiem kropli wody przez cały czas w ustach.

Zacząłem więc rozmyślać—czyby się też nie udało wydrapać tą szczeliną na górę wyspy. Podszedłem bliżej; okazało się, że „wąwoz” kończy się o 20 metrów nad poziomem, spadając do tej wysokości strąmo urwaną ścianą. Postawiłem duży palec nogi na jakimś małym występie i dźwignąłem się o stopę nad ziemią. Zaczepiłem ręką o jakąś nierówność i ułokowałem znowu o stopę wyżej drugą nogę. Znowu stopa wyżej... Tak bez wielkiego stosunkowo trudu wzniosłem się owe 20 metrów niby mucha po prostopadłej ścianie. Na szczęście miałem na nogach t. zw. „calratura Capri”, płócienne półbuciki miejscowego wyrobu na grubych podeszwach ze sznura. Obuwie to jest nadzwyczajnie elastyczne i świetnie chroni nogę na ostrych szmerglach i skałach.

Kiedy dodrapałem się tak w półprzypadkiem i niemal bez zastanowienia owe 20 metrów, zrozumiałem, że los mój się rozstrzygnął. Zleźćbym nie potrafił za nic w świecie tą samą drogą. Trzeba było drapać się dalej—aż do końca.

---

# PO SZEROKIM ŚWIECIE

---

## W ODRADZAJĄCEJ SIĘ TURCJI.

### II.

Długo w nocy nad łóżkiem mojem cicho, cichutko brzęczały moskity. Szklany brzęk ich przezroczystych skrzydełek kołysał mię do snu. I wbrew temu, co o nich mówią, nie zrobiły mi żadnej krzywdy te małe brzęczące żyjątka. A nazajutrz zrana, pomimo skrzętnych poszukiwań, nie znalazłem ich w całym pokoju.

W dalekiej ziemi mojej za Dźwiną w starym dre-

wnianym dworku grały mi tak samo po nocach niewinne świerszcze, których nigdy, jak żyję, nie widziałem.

Sklepy jeszcze były zamknięte i wszystkie samochody stały na rogach przecznic nieruchome, jakby w niespokojnem oczekiwaniu na rozpoczęcie szalonej gonitwy po ulicach miasta, kiedy wychodziłem z hotelu. Postanowiłem wstąpić na krótką chwilę, zanim wstaną moi towarzysze podróży i zasiądą do pierwszego śniadania w przepysznej kawiarni hotelowej—



do Aji Sofji, najstarszego meczetu w Konstantynopolu. Nie miałem zamiaru zwiedzać go, chciałem tylko wejść do wnętrza bez przewodnika, udając, że już byłem tam nieraz, i postać cichutko w jakimś mrocznym kącie i zamyślić się.

Los widocznie sprzyjał mi, bo tramwaj, do którego, nie pytając nikogo, wsiadłem, szedł do Stambułu i dowiózł mnie do prastarych murów Aji Sofji.

Poznałem je tak samo, jak wczoraj.

Z dreszczem dziwnego zaleknienia wstępowałem w te święte progi. Z nieśmiałością wsuwałem nogi w duże czarne pantofle, które usłużnie podsunął mi jakiś stary Turek w białym zawoju na głowie. I potem ostrożnie posuwałem się po spłowiących dywanach, zaścielających całe wnętrze świątyni.

Byłem do tego stopnia wzruszony, że nie zauważyłem wcale ani jednego szczegółu tej niebotycznej całości. Ani kolumn z porfiru egipskiego, ani tych z serpentynu zielonego, ani koronki rzeźbionej w białym marmurze nad płaskimi głowicami kolumn, ani pilastrów pokrytych porfirem, ani owej przedziwnej mozaiki na szczerem złocie i srebrze, którą Turcy, zakrywając przed wiekami wapnem, niechcący zachowali od zniszczenia. Wszystko to znalazłem w tej świątyni w dniach następnych, gdy wraz z towarzyszami podróży z Baedekerem w ręku zwiedzałem to чудо architektury bizantyńskiej, które przetrwało prawie 1500 lat, jako świadectwo potęgi bizantyńskiego dworu i wzór budownictwa dla wyznawców islamu. Wszystkie meczety Stambułu są powtórzeniem Aji-Sofji.

Nie myślałem o tem wszystkim owego rana, gdy wstępowałem w te święte progi nie jako ciekawy turysta, lecz jako pielgrzym nieśmiały.

I potem przy śniadaniu nie powiedziałem nikomu z moich towarzyszy, że tam byłem, nie umiałbym bowiem opowiedzieć, jak wygląda.

Zato gdy dnia tego po południu w asystencji przewodnika i paru kolegów wchodziłem w święte grobowce pomordowanych sułtanów wraz z dziećmi i żonami i potem sunałem w dużych czarnych pantoflach na nogach po miękkich dywanach Aji-Sofji i schodami bez stopni piałem się na wspaniałe jej gale-



Meczet Sulejmana i domy przyległe,



Meczet Aja Sofja.

rje, nie miałem już tego lęku, co rano i widziałem i porfiry egipskie i zielone serpentyny i cudne mozaiki, zdobiące wysokie łuki sklepień i drzwi rzeźbione z marmuru, przez które przeświecało różowym blaskiem słońce. Żaden piękny szczegół nie uszedł mojej ciekawej uwagi, lecz wzamian zato pod olbrzymią kopułą, pod jej rozpostarciem niebotycznym ja—ciekawki tylko turysta—nie czułem wówczas tak, jak dnia tego rano, obecności Boga.

Słońce już się kłoniło ku zachodowi i zaglądało do wnętrza przez 40 okien 50 metrów wysokiej kopuły i na miękkich spłowiących dywanach leżał już szary mrok, gdy wzruszeni wychodziliśmy na duży plac przed świątynią.

Na placu jest kawiarnia i palarnia. Możebyśmy zapalili wonne nargile i w mikroskopijnej filizance czarnej kawy po turecku. Nie, koledzy nie mogą się odważyć—te nargile przechodzą z ust do ust. Turcy siedzą w leniwych niedbałych pozach i smoczą długie zakręcone cybuchy.

Nie chcieliśmy już nic oglądać, byliśmy wyczerpani nerwowo, więc postanowiliśmy przejść się po Stambule.

Z Baedekerami w rękach poszliśmy w stronę meczetu Sulima, zagłębiliśmy się w labirynty uliczek pełnych niespodzianek, domów o ślepych oknach i szerokich, zasłaniających połowę ulicy, wykuszach i murów pozbawionych zupełnie okien.

Były tam ulice bez wylotów, z których musieliśmy wracać, były przejścia mroczne, przypominające bramy domów starych, jakieś sienie z żelaznymi kratami na drzwiach i małe placyki z platanami pośrodku. W samym śródmieściu spotykaliśmy jakieś ruiny niezamieszkałe, puste, w których tylko na dachu ktoś mieszkał w namiocie i gotował sobie strawę wieczorną przy ognisku rozpalonem, jak w lesie.

Co znaczą te ruiny w śródmieściu i to życie koczownicze w milionowym mieście?

Na krótką chwilę wpadliśmy do meczetu Sulejmana, zaśnane go przecudnymi dywanami. Te same dywany perskie rzucił tam przecudnymi witrażami jakiś artysta na wysokie okna łukowe, wywołując tem

przedziwną grę kolorów w szarych mrokach zacisznych kątów świątyni.

Budowano ją w latach 1550—56 z materiałów, przywiezionych z Egiptu, Grecji i Azji Mniejszej. Wielki jest Allah! Te marmury, porfiry niech głoszą Jego chwałę!

Tuż przy meczecie są grobowce sultańskie. Prócz Sulejmana I spoczywają tu zwłoki Sulejmana II i Achmeda II.

Meczet stoi na obszernym, otoczonym murem placu. Na placu, do połowy zabrukowanym, rosną tu i owdzie platany i cicho szmerze ściekająca po kamieniach woda.

Usiedliśmy na kamiennej ławie i milczeliśmy. Każdy z nas miał coś do pomyślenia, a nie miał nic do powiedzenia.

I zastał nas na tej ławie ciemny wieczór, tak że gdy potem wracając, wstępowaliśmy po drodze do Bazaru Egipskiego (Missir Tscharschy) na ulicach paliły się już latarnie i cały bazar wyglądał, jak źle oświetlona fabryka mebli, trafiliśmy bowiem na uliczkę pełną warsztatów stolarskich.

Ten Bazar Egipski jest, jak i Wielki Bazar (Bijjik Tscharschy) jedną z osobliwości Konstantynopola. Są to labirynty uliczek pod dachem, pełnych kramów z sączącym się z góry światłem. Kupić tu można wszystko, ale nie warto nic kupować. Wielki Bazar jest budowlą starą, pamiętającą jeszcze bizantyńskie czasy. Bazar zaś Egipski, do którego zabrnęliśmy przypadkowo, jest jego naśladownictwem.

Z Bazaru Egipskiego wyszliśmy na brzeg

Złotego Rogu koło starego mostu i małym kaikiem dojechalśmy do nowego.

Z trudem dostaliśmy się na ulicę Pera. Wszystkie tramwaje były przepełnione, a nie chciało nam się wspinać na górę, przeszło sto metrów wysoka, więc pojechalśmy kolejką podziemną t. z. tunelem. Tam łatwiej było wywalczyć sobie miejsce, niż w tramwaju. Na ulicy Pera otoczył nas gwar wielkomiejski. Z wystaw sklepowych lało się światło na ulicę. Na chodnikach było pełno przechodniów i przekupniów, jezdnią pędziły samochody, którym przepełnione jadącymi tramwaje nie mogły nadażyć.

W rześcicie oświetlonej hotelowej sali restauracyjnej zasiadliśmy wieczorem przy wspólnym stole do obiadu. Tu rozwiązały nam się języki. Ci, którzy dnia tego niebyli w Stambule lub byli tylko w Bazarze, ze skupioną uwagą przysłuchiwali się naszym zachwytom.

Tak, tam w Stambule w cieniu meczetów, patyną czasu pokrytych, na miękkich szpłowiakach dywanach siedzi z różańcem w ręku i przesuwając leniwie jego paciorki duch Turcji wczorajszej. Islam, któremu Kemal Pasza zadał cios śmiertelny, w czerwonym fezie podnosi głowę i z nieufnością spoziera w stronę Angory. Jak widma żałobne, snują się jeszcze po ulicach Stambułu z czarnymi welonami na twarzach, niby żywy protest przeciwko poczynaniom Kemal Paszy, tureczynki, z dumą średniowiecza manifestując swoją przynależność do haremów.

Ale to są już ostatnie majaki tego, co było.

Turcja musi się odrodzić.

EDWARD SŁOŃSKI.

## TECHNIKA — WYNAŁAZKU

### Odlew gipsowy z żywej twarzy.



Tak się robi maskę.

Wiemy, że odlewy gipsowe z żywych twarzy robi się dla celów naukowych. Mianowicie antropologia posługuje się tym sposobem, aby utrwalić i zgromadzić pewne okazy twarzy i czaszek ludzkich. Słusznie uważają antropologowie sposób ten za doskonalszy od fotografii, bo fotografia zawsze daje właściwie tylko przekrój.

Jeśli więc kto pragnie posiadać wierne i zupełne odbicie swego oblicza, to powinien postarać się o odlew gipsowy twarzy. Wprawdzie do odlewów takich używa się i innych materiałów, niekonieczne gipsu, więc wosku, gutaperki, stearyny — lecz gips jest niewątpliwie najwygodniejszy.

Zrobić taki odlew wcale nie jest trudno. Każdy staranny wykonawca potrafi wywiązać się z tego zadania.

Niektórzy rozpoczynają pracę od tego, że uprzednio przeciągają całą twarz lekką warstwą oliwy. Jednakże specjaliści używają w tym celu oliwy tylko wtedy, gdy idzie o odciski w wosku; gdy zaś mają robić odlew w gipsie, to wolą obmyć twarz ciepłą wodą mydlaną. Dzięki temu zabiegowi wstępnemu, doprowadza się dokładność maski do takiego stopnia, że utrwalają się na niej nawet plamki piegów i pory naskórki. Gips, rzecz oczywista, musi być wybrany z gatunków najdeli-



katniejszych i najstaranniej przesianych. Rozczyniamy go dopiero w ostatniej chwili, tuż przed operacją, biorąc tyle wody, aby powstała papka jednolita i płynna. Następnie drewnianą łopatką rozcieramy go przez krótką chwilę, mniej więcej minutę. Potem zaś pędzlem o miękkim włosiu pokrywamy całą odkrytą część twarzy lekką warstwą tej masy.

Nim rozpoczniemy pracę, to przedtem okrywamy głowę aż do włosów wraz z uszami płótnem złożonym w kilkoro. Brzegi zaś maski odgradzamy od płótna owego teksturą w ten sposób, że tekstura tworzy jakgdyby ścianki naczyń, do którego można lać rozczyń, nie obawiając się, aby się rozlał na wszystkie strony, poza zakreślone dla maski granice.

Koniecznie trzeba najprzód pędzlem pokryć twarz cienką warstwą gipsu, jakśmy to mówili wyżej, inaczej bowiem tworzą się pęcherzyki powietrza, które, wywołując luki w zespoleniu masy z modelem o tak czułych zarysach, jak twarz ludzka, powodowałyby niedokładność maski. Skoro tylko jednak pokryliśmy twarz w ten sposób najcieńszą choćby warstwą masy to natychmiast, bądź wielką łyżką, bądź wprost z rądla, polewamy ją ilością rozczyń, potrzebna, by zapewnić odlewowi moc należyta. Nienależy bowiem zapominać, że z pierwszego odlewu mamy uzyskać formę, któraby pozwoliła odtwarzać więcej egzemplarzy maski.

Po piętnastu mniej więcej minutach, gips powinien już uchwycić kształty modela i zakrzepnąć na tyle, że można go ostrożnie zdjąć, nie bojąc się uszkodzenia.

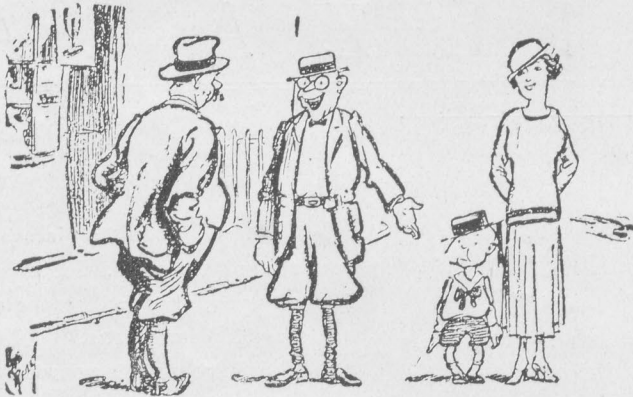
Teraz już osoba, poddająca się operacji modelowania może wreszcie otworzyć oczy, które przez cały czas musiała trzymać dokładnie zamknięte. Bowiem rozumie się, że nie podobna maski wykonać inaczej, jak z oczyma zamkniętymi.



Maska gotowa.

## W O L N E Ż A R T Y

### HUMOR AMERYKANSKI.



— Moja żona i ja jesteśmy humorystami zawodowymi. To też pozwoliliśmy sobie na ten kawał.

(JNDGE, Nowy-Jork)

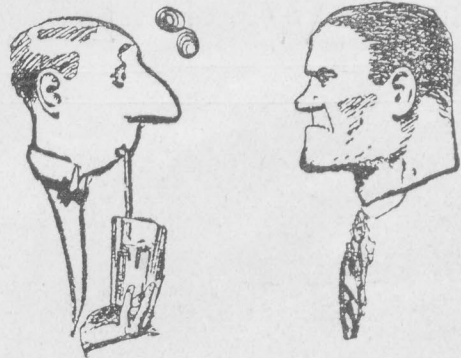
### CZUŁY KUZYN.

— Więc jakżeż, panie doktorze, z moją biedną ciotką?

— Muszę panu powiedzieć, że pozostała jej za ledwie godzina lub dwie życia.

— Ach to dobrze, jeszcze zdążę na śniadanie.

### HUMOR ANGIELSKI.



Są głowy jakby stworzone do słomek.

Inne zaś przeciwnie.

(PUNCH, Londyn).

### TO BĘDZIE TRUDNO.

— Jakie pan ma piękne palto! Czy nie byłby pan łaskaw wskazać, gdzie mógłbym nabyć podobne.

— O wie pan, to będzie trochę trudno. Bo to, co mam, tom włożył, wychodząc wczoraj wieczorem z restauracji. A drugiego takiego nie było.

## U DENTYSTY.

— Ile będzie kosztowało wyrwanie, panie doktorze?

— Dwa złote z bólem, a trzy złote bez bólu.

— No to pan doktor będzie łaskaw za dwa pięćdziesiąt, tak żeby było znośnie.

## SZCZERE WYZNANIE.

— Byłeś przecież ludowcem, radykałem, nawet socjalistą, obecnie jesteś pravicowcem—ciągle zmieniasz zdanie.

— Mój drogi, ja nigdy nie zmieniałem zdania: zawsze chciałem zostać posłem.

## CO WARTO WYBRAĆ.

Gość, wszedłszy do restauracji, bierze spis potraw i mówi do kelnera:

— Zgóry panu damę napiwek, ale niech mi pan w zaufaniu powie, co warto wybrać.

Kelner zniżonym głosem:

— Inną restaurację.

## WYNALAZEK SPOSOBU NA DROŻYZNĘ.

Przedziwne misterjum w 4-ch obrazach.



— Mleko po franku za litr i pieczeń barania po 20 franków za kilo!!!

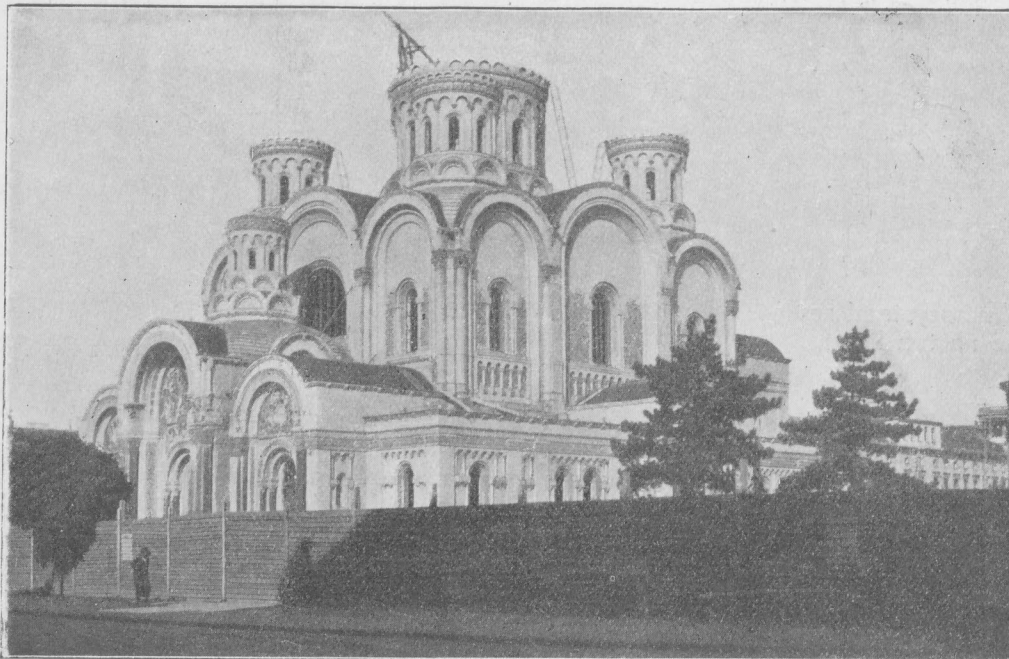
— To stanowczo conajmniej o połowę za drogo.

Eureka!

(Le Canard Enchainé).

— Kupuj pan zamiast litra tylko pół litra mleka i zamiast kilo baraniny — tylko pół kilo, a odrazu będzie taniej o połowę!

## C H W I L A B I E Ż A C A



Rozbiórka soboru na placu Saskim postępuje naprzód. Już zdjęto, jak widzimy, kopułę; rozpoczęto także rozbiórkę wewnątrz.

Niezadługo zniknie z powierzchni naszej stolicy ten budynek, wzniesiony nie z nabożeństwa żadnego, lecz jako symbol panowania rosyjskiego w Polsce, a stylem swym tak niezgodny z zachodnio-europejskim wyglądem Warszawy. Przybędzie Warszawie piękny plac, których stolica nasza ma tak mało.





Niedawno zamknięto wystawę prac młodej sztuki  
w Warszawie w Łazienkach.

Śród rzeźb wyróżniał się pełen wyrazu mo-  
del figury symbolicznej pomnika grobowego —  
dzieło Zofji Kamińskiej.

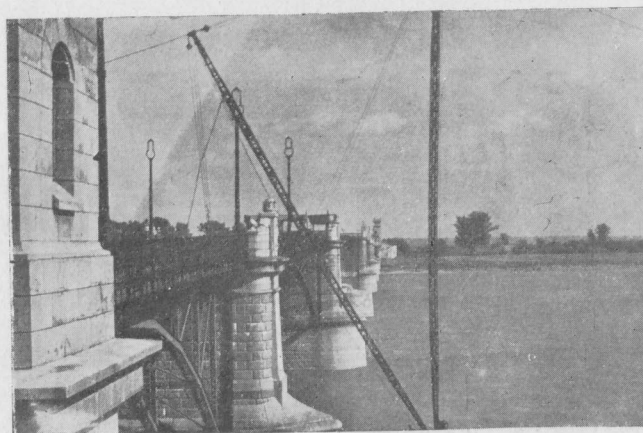
## NOWI WOJEWODOWIE.



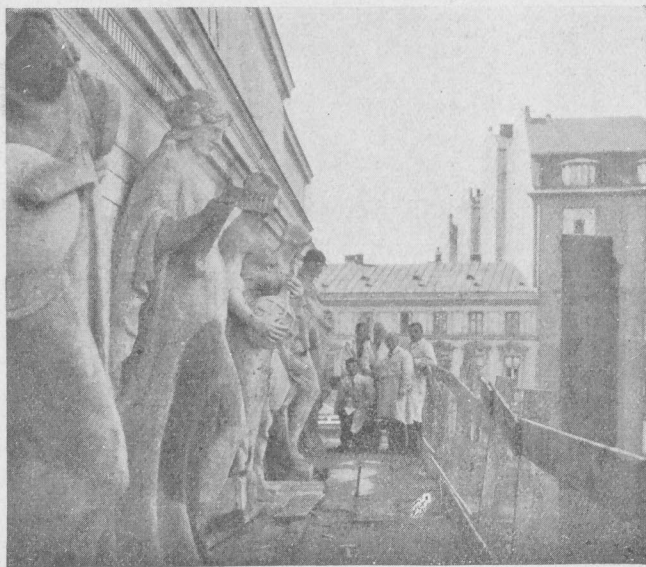
P. UŁK. MŁODZIANOWSKI,  
nowy wojewoda poleski, dotychczasowy dowódca  
Szkoły Podchorążych w Warszawie.



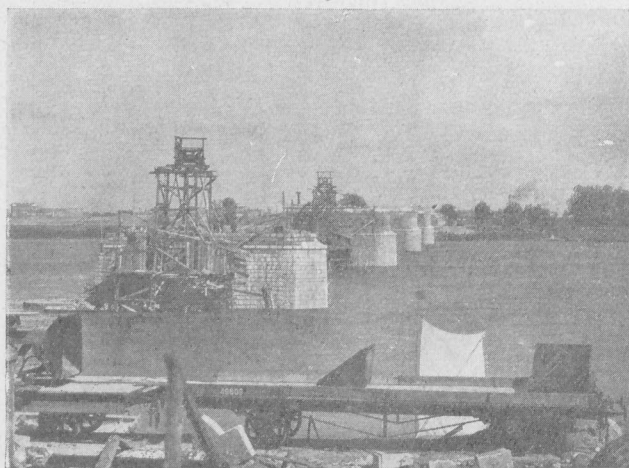
W Rosji bolszewickiej wszystko służy propagandzie —  
nawet sztuka. Oto projekty pomnika Lenina z konkur-  
su petersburskiej Akademii Sztuk.



Odbudowa mostu Poniatowskiego postępuje naprzód.



Prace nad rzeźbami, które będą zdobiły nowy budynek gimnazjum im. Królowej Jadwigi na Pl. Trzech Krzyży.



Dzięki nowym kredytom—300.000 zł, posunie się budowa drugiego mostu kolejowego w Warszawie, tak dla węzła warszawskiego doniosłego.



P. Osterwa, dyrektor Teatru Narodowego.

Fot. Vlasak.

## TRAGEDJA ARTYSTKI FILMOWEJ.



Ewa May, młoda, piękna i urocza artystka, popełniła niedawno samobójstwo. Sztuczne, fantastyczne, nieprawdopodobnie gorączkowe życie kinowe rozstroiło zupełnie nerwy pięknej kobiety.



Fot. St. Brzozowski.

TEATR MAŁY. Maszyński w „Malowanej Żonie”.



# R O Z M A I T O Ś C I

## Nieco o reklamie amerykańskiej.

O rozmiarach, jakich dosięgła reklama świetlna w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, dają pewne pojęcie poniższe dane, zaczerpnięte z dziennika amerykańskiego Wall Street Journal.

Jedną z najdroższych z pośród tysięcy reklam świetlnych jest — według tego dziennika — reklama pewnej firmy tytoniu do żucia. Utrzymanie i funkcjonowanie tej reklamy kosztuje kilkaset tysięcy dolarów rocznie. W ciągu siedmiu lat firma ta wydała na reklamę czterdzieści milionów dolarów (t.j. przeszło dwieście milionów złotych, gdy cały kapitał zakładowy Banku Polskiego wynosi tylko sto milionów złotych).

Firma powyższa nie należy bynajmniej do wyjątków.

Bardzo wiele firm, pragnąc urządzić jakąś reklamę na tym lub wym domu, nie zawahało się poświęcić sumy większej od całkowitej wartości tych domów. O wymiarach niektórych reklam może dać pojęcie np. reklama firmy sprzedającej kołnierze do koszul męskich. Firma ta urządziła na domu, stojącym u zbiegu ulic: Broadway i 47-ej w New Yorku olbrzymi szyld świetlny o wymiarach 16 metrów 90 cm., który zużywa światła 4000 lamp elektrycznych miesięcznie. Nieopodal, szyld jednego z klubów zajmuje powierzchnię 400 metrów kwadratowych i pochłania światło 4.957 lamp.

Szyld kinematografu Rivoli, jednego z największych i najzbytłowniejszych w New Yorku posiada wymiary 61 na 21 metrów. Szyldem, umieszczonym najwyżej jest szyld banku Gotham National Bank: znajduje się on na wysokości 75 me-

trów ponad poziomem ulicy. Każda litera tego szyldu ma wysokość 3 metrów 65 centymetrów. Ale to nie jest jeszcze rekordem wysokości liter, bowiem każda litera jednego z szyldów pewnej firmy, zajmującej się sprzedażą gum samochodowych, dosięga 7 metrów 60 centymetrów.

Urządzenie szyldu wymienionego wyżej banku pochłonęło 80 tonn rusztowań stalowych i tonnę gwoździ do spajania metali. Jego odporność na uderzenia wiatru jest obliczona na blisko 2 kilo 500 na 1 centymetr kwadratowy.

Zespół budynków, noszących nazwę Times Square jest ulubionym miejscem dla poszukiwaczy skutecznej reklamy. „Płoną one tam w ciągu dwudziestu czterech godzin na dobę” — w ten sposób specjaliści amerykańscy określają miejsce dla reklamy najbardziej korzystne, miejsce, w którym ruch nie ustaje ani na chwilę, ani w dzień ani w nocy. Liczbę przechodniów, którzy przechodzą codziennie pomiędzy zespołem tych zabudowań, obejmującym 46 teatrów i 27 wielkich hotelów, obliczają na 1,200,000 dziennie (w tem 300,000 cudzoziemców).

Pomiędzy placem Battery Place (granica miasta nad samym morzem) i 135-ą ulicą znajduje się ogółem nie mniej jak 9,500 zewnętrznych szyldów świetlnych, rzucających światło miliona lamp. Na jednej tylko (główniej ulicy) Broadway płonie co noc 350,000 lamp.

Kapitał włożony w ten arcy-postępowy sposób reklamy wyteżonej w samym tylko New Yorku oceniamy na setki milionów dolarów, (miliardy złotych).

## JAK PISAĆ — JAK MÓWIĆ.

W ODPOWIEDZI NA LIST. W ZAŁĄCZENIU przesyłam. W OCZEKIWANIU na zamówienie.

Zwroty takie i tym podobne przedostały się do nas przeważnie z listów handlowych, wzorowanych na listach niemieckich. Są to zwroty dla nas niezgrabne, ciężkie i nieswojskie. Rugują odpowiednie zwroty rodzime, daleko zręczniejsze i zrozumialsze. W języku niemieckim są niezbędne, gdyż Niemcowi trudno byłoby nieraz powiązać ze sobą dwa zdania inaczej, jak przez takie zwroty. My natomiast w podobnych wypadkach używamy najczęściej imiesłowu nieodmiennego albo też poprostu czasownika. A więc należy pisać i mówić np.

nie:

w odpowiedzi na list

w przewidywaniu zmian  
w przypuszczeniu

v tem przekonaniu  
w oczekiwaniu na

w załączeniu przesyłam

lecz:

do wyboru:

odpowiadając na list,  
odpowiadam na list  
(lub nawet krótko) na list.

przewidując zmianę  
przypuszczając są-  
dząc.

uwważając, rozumiejąc.  
czekając na, oczekując  
licząc na.

załączam przy niniejs-  
szym, przesyłam.

OD PRZESZŁO DWU MIESIĘCY. PRZED W POŁO-  
WIE PUSTEMI ŁAWKAMI.

W języku polskim imię z przyimkiem doń należnym mocno się wiąże, tak że razem odczuwamy oba wyrazy prawie jak jeden. Np.: na pagórku, na wysokim, na tym, na trzecim, na zbyt wysokim. W języku zaś niemieckim ten związek jest daleko luźniejszy — czy to za sprawą rodzajnika der—die—das, czy dla czego innego — mniejsza o to, dość, że luźniejszy. A ponieważ nadto Niemiec lubi wysuwać skrót imiesłowny przed imię, które określa, więc wytworzył się zwyczaj w języku niemieckim, że skrót zdania z imiesłowem odmiennym ujmuje się w przyimek i należy doń rzeczownik, jak w jakiejś klamry. Polaka to razi, Polak, nie uległy wpływowi obcemu, nigdy tak nie uszykuje wyrazów — w języku polskim stawiamy taki dłuższy określnik po rzeczowniku, a rzeczownika od owego przyimka nie odrywamy.

Jeszcze bardziej razi, gdy w podobnych zwrotach stoją po sobie dwa niezależne przyimki lub niektóre przysłówki po przyimku. Czyli razj ucho polskie, czułe na piękno języka, gdy taki skrót z imiesłowem odmiennym i wogóle zwrot, zaczynający się od przyimka lub pewnych przysłówków, rozrywa zdanie zaraz między innym jakimś przyimkiem a imieniem doń przynależnym.

Więc należy się wyrażać jak następuje:



Za wyświadczyć się nam mającą grzeczność.  
 Śród po francusku mówiącej ludności Alzacji.  
 Według na zjeździe powziętej uchwały.  
 Mówcy przemawiali przed w połowie pustemi ławkami.  
 Przeba przedsiębiorcy z około 30 robotnikami.  
 Po polsku brzmiałyby zdania powyższe tak oto:  
 Za grzeczność, którą mają nam wyświadczyć.

Śród ludności Alzacji, mówiącej po francusku.

Według uchwały powziętej na zjeździe.  
 Mówcy przemawiali przed ławkami na półpustemi.

Potrzeba przedsiębiorcy mniej więcej  
 z 30 robotnikami z jakimiś 30 robotnikami.

### ODPOWIEDZI REDAKCJI.

W. W. z BRZ. n. B. Owszem — umieścimy. Dziękujemy i prosimy o dalsze. Pozwoliliśmy sobie poprawić jedną usterkę, pochodzącą zapewne z niedopatrzenia.

*Redaktor naczelny: CZESŁAW ROKICKI.*



## PARĘ SŁÓW O MODZIE.

Wszyscy ulegamy modzie.

W słowach niby lekceważymy ją, uważamy za błahostkę, ale nikt się jej naprawdę nie opiera. Przeciwnie, niemal każdy skwapliwie się do niej stosuje. Stanowi ona więc mimo wszystko, niezaprzeczoną potęgę społeczną.

Jednak człowiek modnie ubrany o tyle tylko wywiera wrażenie, jeśli krój i wykończenie wykonano istotnie wykwalifikowanie i ze smakiem.

Trzeba mieć pewną intuicję wrodzoną, aby tworzyć rzeczy nie tylko modne, ale i rzeczywiście ładne. Dlatego też, kto chce być ubrany podług ostatniej mody i z tą elegancją, którą daje wyczucie intuicyjne, ten niech uda się w WARSZAWIE NA HOŻĄ 27 DO STANISŁAWA RZEWUSKIEGO.

Młody, energiczny Stanisław Rzewuski istny mistrz sztuki krawieckiej w roku 1918 założył zakład krawiecki i w krótkim stosunkowo czasie już w sferach towarzyskich mówiono: „Kto chce mieć elegancki, a zarazem modny garnitur lub palto, ten niech stałuj się tylko u Stanisława Rzewuskiego w Warszawie przy ul. Hożej 27, który z własnych i powierzonych materiałów rzeczywiście cuda tworzy w tej dziedzinie“.



# Otwock Wielki

== Wład. Hr. JEZIERSKI ==

poczta Karczew

Ziemia Warszawska



WINA, WÓDKI, KONIAKI, LIKIERY

**ANDRZEJ BIELECKI**

w Karczewie, z. Warszawskiej.

M Ł Y N

**Józefa Żelasko**

w Karczewie z. Warszawskiej

Egzystuje od 1914 roku.

OTWOCK

**Pensjonat B. Tenenbauma**

Otwarty cały rok.

Położony na południu, wśród lasów. Urządzony według najnowszych wymagań. Ceny przystępne.

# POLSKI BANK HANDLOWY TOW. AKC.

## Instytucja Centralna w Poznaniu

Zarząd Okręgowy w Katowicach, Rynek 7.

Adres telegraficzny: „Poznabank“ Telefony Nr.: 1662, 2026, i 1835. P. K. O. Nr. 300,177.

**Oddziały Górnośląskie:**

**K A T O W I C E**

**Królewska Huta, Mysłowice, Tarnowskie Góry, Bytom.**

Polski Bank Handlowy w Poznaniu Tow. Akc. powstał w roku 1872 jako Bank Włościański, podejmując w czasie swego założenia skuteczną obronę przeciw bankom niemieckim, opanowującym w zupełności życie gospodarze b. dzielnicy pruskiej. Po objęciu kierownictwa przez obecnego prezesa D ra Kazimierza Hącię, b. ministra Przemysłu i Handlu, bank ogarniał coraz szersze kręgi w kierunku handlowo-kupieckim, stając się poważną konkurencją potężnych banków niemieckich. Po przejęciu Banku Kupiectwa Polskiego rozciągnęła się działalność Polskiego Banku Handlowego na b. Kongresówkę i Małopolskę, przyczyniając się znakomicie do nawiązania ściślejszych stosunków gospodarczych między trzema byłymi zaborami.

Już przed przyłączeniem G. Śląska zakłada Polski Bank Handlowy kilka Oddziałów, przygotowując teren do plebiscytu i starając się nowopowstającemu na tym terenie polskiemu życiu gospodarczemu przyjść z wydatną pomocą. Oddziały w Katowicach, Król. Hucie, Mysłowicach, Tarn. Górach i Bytomiu, w łączności z szeroko rozgałęzioną siecią oddziałów w całej Rzeczypospolitej, oddając społeczeństwu polskiemu na G. Śląsku znaczne usługi. Przeszło 50 lat istnienia Polskiego Banku Handlowego świadczy o jego wartości wewnętrznej a ekspensja gospodarczo inwestycyjna stanowi najdonioślejszą część jego działania z punktu widzenia interesów ogólnie krajowych.

## E. V. MÜNSTERMANN, Spółka Akcyjna.

Odlewnia żelaza i bronzu, budowa maszyn i armatur.

Rok założ. 1881. ul. Raciborska 8.

Adres telegr. Münstermann Katowice.

**K A T O W I C E**

ODLEWY WSZELKICH FORM I WIELKOŚCI

z oryginalnego bronzu fosforowego Dr. Künzla, niklofosforowego, bronzu fosforowego, odpornego na działania kwasów i z 1<sup>a</sup> spiżu.

MATERJAŁ KUTY Z BRONZU SPECJALNEGO I Z MIEDZI ELEKTROLITYCZNEJ.

BIAŁY METAL ŁOŻYSKOWY.

CYNA DO LUTOWANIA.

SZLAGLUT.

CIEŻKIE ARMATURY

dla parowych, wodnych i gazowych przewodów.

Budowa nowych i reperacja maszyn górniczych.

Odlewy żeliwne każdego rodzaju.

**Popierajcie pracę inwalidów wojennych.**



NAJPOCZYTNIEJSZYM PISMEM  
W WOJEWÓDZTWIE ŁÓDZKIM  
SĄ

# NOWINY

niezależne, nie pozostające, na usługach żadnego  
stronnictwa.

Najskuteczniejszy organ ogłoszeń dla Przemysłu,  
Handlu i Finansów.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:  
Łódź, ul. Piotrkowska 85, tel. 33.

**ZNANEM** jest w całej **POLSCE**,  
ze najlepszym informatorem  
z WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO  
jest

## „GONIEC ŚLĄSKI“

Pismo codzienne, bezpartyjne, stojące na stanowisku  
ogólno-narodowym, posiadające bogaty dział gospo-  
darezo - przemysłowy.

**Najlepszy organ ogłoszeniowy dla p. p. kupców  
i przemysłowców.**

WYDAWNICTWO

„**OBERSCHLESISCHE GRENZZEITUNG**“

jest jedynym pismem na Śląsku w języku nie-  
mieckim wydawane, w duchu polskim.

Katowice, ul. Warszawska № 58.  
GONIEC ŚLĄSKI TOW. AKC.

Własna drukarnia — Introligatornia — Stereotypja.

## GONIEC WIELKOPOLSKI

codzienne pismo,

szczerze ludowe, z ilustracjami,

powinno się znajdować w każdym domu w mieście i na wsi.

ŻĄDAJCIE NUMERÓW OKAZOWYCH.

**ADRES:** POZNAŃ, ALEJE  
Marcinkowskiego 25.

Warsztaty mechaniczne  
MASZYNY I NARZĘDZIA ROLNICZE

**J. Rękawek**  
w Garwolinie.

**TU I W SZĘDZIE**  
UMIEŚCI OGŁOSZENIE  
**SOLIDNIE—SZYBKO—TANIO**

„**Z. I. W.**“

Agencja Wydawniczo-Reklamowa

Centrala:

Warszawa, Nowy-Świat 50, tel. 291-60.

Oddziały:

Białystok, Katowice, Lwów, Łódź  
i Poznań.

Lekarz-dent.

**H. GOLDSZMIDT**  
**OTWOCK**

ul. Kościelna Nr. 10.

# Leśna Stacja Klimatyczna

## Uzdrowisko--OTWOCK

wśród rozległych lasów sosnowych, w odległości 24 klm. od Warszawy, na prawym brzegu Wisły. Klimat łagodny i suchy. Główne wskazania: choroby dróg oddechowych, choroby serca, nerek, niedokrwistość, ozdrowieńcy po wyczerpujących chorobach, reumatyzm i t. d.

2 sanatoria urządzone i prowadzone według najnowszych metod leczniczych: Boutgen, lampa kwarcowa, hydroterapia, elektroterapia i t. d.

Uzdrowisko dla piersiowo chorych m. st. Warszawy.

40 pensjonatów mniej lub więcej komfortowo urządzonych oraz liczne wille, położone wśród lasów. Oświetlenie elektryczne. Na miejscu 20 lekarzy różnych specjalności. Nadzwyczajnie dogodna komunikacja z Warszawą: kilkadziesiąt par pociągów kolei Warszawa—Dęblin i kolejki podjazdowej.

Poczta, telegraf, telefon międzymiastowy i podmiejski.

Sezon trwa przez cały rok.

### CENY OGŁOSZEŃ

STRONA	1/1	1/2	1/4	1/8	1/16
II „	180.—	90.—	45.—	25.—	12.—
III „	180.—	90.—	45.—	23.—	12.—
IV „	220.—	110.—	55.—	28.—	14.—

Strona opisowa: Złp. 300—Fotogr. i klisze na rach. klienta. Za wiersz wysok. 1 milimetra szerokości 1 szpalty: Kron. Towarz. i Komunikaty za 1 m/m 65 groszy. Pierwsza strona tekst za 1 m/m 3 zł. Za terminowy druk ogłoszeń Admin. nie odpowiada.

### PRENUMERATĘ PRZYJMUJĄ:

w Warszawie: Nowy-Świat 50 m. 4a tel. 291-60, konto cze-  
kowe w P.K.O. № 8.866 „Ziw“.  
w Poznaniu: Św. Wojciecha 3.  
w Lwowie: Lenartowicza 12.  
w Katowicach: Plebiscytowa 2, 1-sze piętro.  
w Królewskiej Hucie, Wolności 18.  
w Łodzi: Gdańska 57, tel. 27-90.  
w Białymstoku: Koszykowa 22, tel. 430.

Prenumerata: roczni 45 zł., półrocznie 23 zł., zagranicą  
podwójnie.

Redaktor Naczelny  
**Czesław Rokicki**

Za wydawnictwo  
**Mikołaj Korwin-Sobolewski**

Redaktor odpowiedzialny  
**Tadeusz Jaszczewski**